

Jan Kiepusa, starszy ode mnie o trzy lata (ur. 16.05.1902 r.), uczęszczał do sosnowieckiego gimnazjum im. Stanisława Staszica, o dwie klasy wyżej, razem z moim bratem Mieczysławem, z którym żył w wielkiej przyjaźni. Warto przy okazji napomknąć, że w ich zespole znajdował się również Bogdan Suchodolski — „filozof”, jak go przezywano.

Mego brata z Kiepusą wiązała nie tylko ława szkolna. Razem rozbrajali Niemców w 1918 roku, zdobywając na nich broń. Miało to miejsce na starososnowieckim dworcu w czasie przejazdu transportów wojskowych, wiozących Niemców do „Heimatu” z nieudanej wyprawy na podbój Wschodu. W piwnicy Kiepusów na ul. Milej była prawdziwa składowa broni: karabinów, amunicji i granatów, z której korzystali później w czasie powstań śląskich w 1919 i 1921 roku. Kiepusa, Janek Zieleniewski, Mieczysław Mierzejewski i mój brat stanowili w tych powstańczych walkach, nocnych wyprawach i walkach z Grenzschutzem nierozdzielny czwórka. A ponieważ w naszym mieszkaniu kwatrował wówczas jeden z ich dowódców, chorąży „Zeflik” (nazwiska nie pamiętam), więc często pod wieczór zbiórka w naszym domu poprzedzała ich wymarsze do walki w kierunku Szopieniec czy Eichenau (Mała Dąbrówka). „Zeflik” zdobył szlify podoficerskie na froncie zachodnim. Odlamek granatu uderzył go tam w twarz i wybił wszystkie zęby uszkadzając szczękę. Miał wstawione zęby z kiegoś metalu, chyba aluminium, którymi dźwonił jak koń wędzidłami.

Władzio Kiepusa miał potężne bary i płuca jak mlechy kowalskie, silny głos o barwie barytonowo-tenorowej i nie mogąc wyjść z podziwu, że później śpiewał partie tenorowe np. Jontka w „Halce”. Miał jednak jakiś defekt ze słuchem, co okazywało się, gdy śpiewał jako pierwszy bas w chórze szkolnym. Je go silny głos przydatny był w chórze, ale istniała między nim a dyrygentem prof. Powiadowskim umowa, że jeśli nie trafi dobrze w ton, na znak Powiadowskiego przestanie śpiewać.

Wspaniały słuch miał za to Jan Kiepusa. W całej szkole rozlegał się jego donośny śpiew. Śpiewał wiele. Nawet w ustępie szkolnym, gdzie „palace” szli na papierosa, rozlegał się jego śpiew: *La donna mobile* czy coś innego. Mielismy w szkole dwóch takich śpiewaków z tej samej klasy — Franka Bargiela i Janka Kiepusę, którzy rywalizowali ze sobą na koncertach szkolnych. Bargiele przeprowadzano wielką przyszłość śpiewacza, Kiepusę nie. Działo się tak, ponieważ prof. Powiadowski nie cierpiał Kiepusę, uważając go za butnego zarozumiałca i beztalencie. Obaj jednak występowali na publicznych koncertach szkolnych. Muszę się pochwalić, że raz

przypadł mi obowiązek akompaniowania Kiepusę na takim występie. Śpiewał wtedy Barkarolę Galla: „Ach zedź do gondoli kochanko ma. Noc cicha jak sen, tylko fala drga”...

Tak się jednak złożyło, że wbrew prze widywaniom profesora o Bargiele po ukończeniu szkoły nigdy nie słyszałem, natomiast Kiepusę słuchał cały świat.

Chcę w tym miejscu opowiedzieć obszerniej o wszystkich późniejszych kontaktach z Kiepusą. Nikt nie weźmie mi chyba za złe, jeśli w tym wypadku zla mię zasadę chronologii pamiętnikarskiej. Władek Kiepusa szkoły Staszica nie mógł jednak ukończyć i przeniósł się do gimnazjum w Królewskiej Hucie, gdzie udało mu się zdobyć świadectwo dojrzałości o rok chyba później. Janek

dążył do Sosnowca. Kiepusa wyciągnął z portfela fotografię swego profesora. Widniała na niej następująca dedykacja: „Memu najlepszemu uczniowi Janowi Kiepusę — Wacław Brzeziński”. Widocznie już po paru miesiącach nauki profesor Brzeziński docenił głos Jan ka.

Parę słów o następnym moim zetknięciu z Kiepusą. Jako prezes Koła Zagłębia na Uniwersytecie Poznańskim wspólnie z kolegami postanowiliśmy w czasie ferii zimowych w 1924 roku zorganizować w Sosnowcu koncert na dochód Koła, aby mieć świeżą gotówkę na pomoc dla głodujących często kolegów. Wymagało to wielu zabiegów przy gotowawczych, wśród bogaczy sosnowieckich rozsprzedawaliśmy bilety, by

cież to już nie koncert szkolny, zgromadziła się doborowa publiczność, znająca się na muzyce. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Kiepusa, choć dopiero niedawno podjął naukę u prof. Brzezińskiego, śpiewał tak pięknie, że oczarował słuchaczy. Po każdym zaśpiewanym utworze nie kończyły się brawa. Koncert powiódł się, a my wracaliśmy do Poznania z zarobionymi na im prezje groszami i mogliśmy pomóc biedującym studentom.

Następne spotkanie z Kiepusą przebiegało już w innych okolicznościach. Nasza studencka kolonia dowiedziała się niespodziewanie z notatki w gazecie, że przyjeżdża Kiepusa i będzie w Poznaniu debiutował w „Faustie” Gounoda. Natychmiast poczyniliśmy przygotowa-

Chorwat z pochodzenia, niezwykle utalentowany, który awansował później na dyrektora opery warszawskiej. Na scenie nie występowali artyści tej miary, co Józef Woliński, Tarnowski, Urbanowicz, Ewa Bandrowska — jeszcze nie Turska, niezapomniana i przezgrabna Fontanowa, primadonna operetki i inne postacie teatru, z których w późniejszym czasie prawie wszystkie bez wyjątku awansowały na scenę opery warszawskiej. Gro zna dla Kiepusy mogła stać się krytyka muzykologa poznańskiego, Lucjana Kamińskiego, który na łamach „Kuriera Poznańskiego” druzgotał niemiłosiernie co słabszych artystów. Na szczęście egzystował wtedy w Poznaniu konkurencyjny „Dziennik Poznański”, nieco w porównaniu z „Kurierem” lewicujący. Pracował tam w charakterze redaktora Kaziu Zakowski, nasz kolega z Sosnowca, dobrze mi znany z harcerstwa. Nim wstępnie ustaliliśmy taktykę recenzijną po debiucie.

Z drżeniem i niepokojem, chyba pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia, siedzieliśmy już w operze i zdenerwowani czekaliśmy. Wszak tu chodzi o honor Sosnowca. Wreszcie kurtyna poszła w górę i po chwili nasz Janek zaczął swoje wokalne popisy. Na scenie pod oknem Małgorzaty odpiewuje wspaniałą arie z kwiatkami i zgodnie z umową otrzymuje po raz pierwszy w czasie spektaklu rzesiste brawa przy otwarciu kurtyny, zainicjowane oczywiście przez nas, Zagłębiaków. Wiadomo — psychika tłumu robi swoje, inni podchwytują oklaski, które początkowo nieśmiało odzywały się ze wszystkich stron widowni. Oklaskami zmusiliśmy dyrygenta do powtórzenia całej sceny, na co Kiepusa nie bardzo chciał się zgodzić, lecz w końcu uległ. Na zakończenie pierwszego aktu bileterki wniosły zakunione przez nas za pieniądze Kiepusy olbrzymie kosze kwiatów. Wnoszenie tego samego kosza powtarzało się aż do końca przedstawienia po każdym akcie.

Kiepusa prosił, abyśmy zaczęli na niego po przedstawieniu przy wyjściu dla aktorów. Tam też zebraliśmy się i Kiepusa zaorosił nas na kolację do restauracji. Bilo od śpiewaka zadowolenie, ale pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy po wyjściu z teatru brzmiały:

— Dostałem w pysk od partnerki!

— Za co?

— Próbowałem ukraść całusa, bo pięknie ładna dziewczyna ta Bandrowska. Wykorzystałem scenę po arii z kwiatkami, kiedy wyglądała oknem, ale się nie udało. Honorna kobito!

Ubrani w najlepsze garnitury studenckie, które mimo wszystko wyglądały mi znie i krepowały nas nieco, zasiadłszy my chyba w dwanaście osób przy stolikach do kolacji, którą fundował oczywiście Kiepusa.

Ze wspomnień o Janie Kiepusę

Pomyłka profesora

WIESŁAW SAUTER

natomiast złożył egzamin dojrzałości w czerwcu 1921 roku. Od tego czasu kontakty nasze osłabły, gdyż w dwa lata później podjąłem studia na uniwersytecie w Poznaniu, a Kiepusa już w 1921 rozpoczął studia prawnicze w Warszawie. Ponieważ mój brat studiował w tym czasie w Akademii Handlowej w Warszawie — nadal kontaktował się z Kiepusą. Niestety, mój brat zmarł niespodziewanie w czasie drugiego roku studiów.

Jana Kiepusę spotkałem dopiero w grudniu 1923 roku, kiedy jechałem przez Katowice z Poznania do Sosnowca na ferie bożonarodzeniowe. Zderzyliśmy się na platformie wejściowej do wagonu, gdyż w tym okresie wagony były tak przeładowane, że do wnętrza nie mogliśmy się dostać. Zdażył mi tylko powiedzieć, że niezależnie od studiów prawniczych kształci głos u prof. Brzezińskiego. Mówił, że kiedy pierwszy raz zjawił się u niego, profesor kazał mu coś zaśpiewać. Zawsze pełen pewności siebie przyjał widocznie poze bohatera kiego tenora i rozpoczął arie z Lohengrina. Profesor kazał mu natychmiast przerwać, skrytykował jego postawę i od tego zaczęła się edukacja śpiewacza Kiepusę. Zresztą po chwili, gdy doje-

le coś zarobić. W programie koncertu, na który szkoła Staszica udzieliła nam swojej auli, przewidywaliśmy występ najlepszego w Sosnowcu chóru „Lutnia”, którym dyrygował prof. Powiadowski, bezinteresowny występ pianistyczny p. Sadowskiej czy Sadowskiej i Kiepusę. I tu napotkaliśmy na trudności. Kiepusa zażądał honorarium, o ile pamiętam w wysokości około 200 zł, co zubożało ogromnie dochody z koncertu. Niezależnie od tego nie bardzo chciał się zgodzić, aby jakaś, jak to określili, „siuska” występowała na tym samym koncercie. Co najgorsze, zażądał, aby mu do śpiewu akompaniował prof. Powiadowski. Wobec awersji, jaką ten ostatni czuł do Kiepusę, żądanie to nie mogło być spełnione. Profesor jak przewidywaliśmy, odmówił. Po długich i usilnych staraniach i tarapatach — sprzedaliśmy już bilety na koncert a tu takie trudności. W końcu zgodził się Kiepusa na akompaniament prof. Zillingera, nauczyciela fizyki w naszym gimnazjum, którego uprosiliśmy o tę przysługę.

Kiedy doszło do występu Kiepusę, nasze organizatorów zdenerwowanie rosło. Czy aby nie zawiedzie naszych oczekiwania? Czy będzie umiał się zachować na scenie w solowym występie? Prze-

nia, aby się z nim spotkać i móc uczestniczyć w jego występie. Kiepusa zamieszkał w tzw. akademiku u kol. Mierzejewskiego. Wówczas nie było jeszcze w Poznaniu domu akademickiego z prawdziwego zdarzenia. Kiepusa nocował w łóżku Mierzejewskiego, z kolei ten musiał noc spędzić na podłodze. Nikogo z nas nie stać było na stworzenie lepszych warunków. Zresztą Kiepusa czuł się w tej sytuacji dobrze, bo przecież Mierzejewski to jeden z jego najlepszych kolegów, towarzyszył mu w powstaniach śląskich, a także w rozgrywkach w piłce nożnej. Kiepusa po przyjeździe dał każdemu z kolegów — po dwa bilety do opery: „dla siebie i dla narzeczonej”, sporo złotych na kupno kosza kwiatów i zobowiązał do klaki. Jak się okazało bilety były na różne miejsca w teatrze, jedno na parterze, inne na piętrze, w różnych rzędach. Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaki to ma sens, dzisiaj wiem, że chodziło o to, aby oklaski dochodziły ze wszystkich stron.

Scena operowa i publiczność poznańska należały wtedy do najbardziej wymagających w kraju. Jej wieloletnim dyrektorem i pierwszym kapelmistrzem był w tym czasie Stermich-Valcrociata.

PeSTAWY

Zniknięcie żółtego sera

Rok temu, o tej porze lata co parędziesiąt metrów w centrum Zielonej Góry stały saturatory. Walka z upałem odbywała się za pomocą wody prosto z kranu nasyconej pojedynczymi bąbelkami i kropelkami soku wiśniowego lub truskawkowego. Wprawdzie nie było to, co serwuje się w opóźnionej w rozwoju Bulgarii — świetne soki naturalne, gazowane, lekko mrożone, ale na naszym obszarze zamieszkiwania saturatory budziły zaufanie do przedsiębiorczości emerytów i emerytek.

Dziś nie mamy rozdzierającego duszę wyboru między wodą z sokiem wiśniowym, bądź truskawkowym. W Zielonej Górze i w całym plenerze między Odrą a Bugiem, schludnych staruszków przy saturatorze nie uświadczysz. Emeryci i emerytki oraz ich fabryki, skryli się w głębokim podziemi, czyli w piwnicznych mrokach. Wchodzi się tam za protekcją, jak w melinie obowiązującej znajomość odpowiedniej sygnalizacji, po to tylko aby rąbnąć sobie na jedną nóżkę wodę z amarantem, na drugą zaś wodę z inną odmianą czerwieni.

Walka z wyszynkiem wody sodowej okazała się skutecznym biłaskriegem, który autorem sukcesu powinien dać wiele do myślenia przy innych okazjach np. na trosce o czyste wychodki publiczne, takie same obrusy w restauracjach, schludny wygląd środków komunikacji publicznej. Walka z salmonellą będzie zapewne długa, wyczerpująca i być może w końcowym efekcie zwycięska. Tylko w jednym miejscu udało się ją pokonać — przy saturatorach. Wystarczyło nakazać: pić wodę tylko z kubków jednorazowego użytku a wróg smrotności się poddał. Właściciele mikrofabryczek wody sodowej walczyli o swój byt starając się o butle z dwutlenkiem węgla. Zabiegi o bąbelki wyczerpały ich siły. Nie mają ich na walkę o papierowe kubki. Może zresztą siły mają, tyle tylko, że zdrowy rozsądek nie pozwala tych sił ukierunkowywać. Treffpunkt, erste Linie, jak powiadają nasi przyja-

cieli zza Odry, tkwi jak zwykle w ekonomicznych okolicznościach. Woda sodowa była i jest u nas droższa od mleka. Woda sodowa pita z jednorazowego na czynia miałaby cenę napoju wiecznej młodości, jakim rozczuli się olimpijcy bogowie.

Saturatory padły w walce z salmonellą. Być może na czas jakiś. Nie należy tracić nadziei, że znów zobaczymy czystych staruszków z ich fabrykami w ogólnie dostępnych miejscach. Bo jak uczy doświadczenie, zaopatrzenie w napoje bezalkoholowe w sezonie letnim było i jest poza możliwościami naszej gospodarki. Nie było to możliwe w latach gospodarczego humbugu, tym bardziej więc teraz.

De Gaulle, prezydent Francji, skarżył się, że trudno jest rządzić krajem, w którym produkuje się ponad ćwierć tysiąca gatunków sera. Mnie bolała zawsze głowa przy zakupie sera w Powszechnej Spółdzielni Spożywców. Miałem do wyboru tylko dziesięć gatunków o takim samym smaku. Dziś głowa mnie nie boli. Gatunków mamy dwa, twaróg tłusty i chudy. Ser twardy, żółty zniknął ze sklepowych półek jak sen zły i to w miesiącach, w których to niby wylewa się z brzegów rzeka mleka.

Tajemnicze zniknięcia żółtego sera nie jestem w stanie dociec. Pewien znawca orzekł, że ogólnie rzecz biorąc mleczarstwo zaspokeja potrzeby społeczeństwa, tyle że nie asortymentowo. I tutaj pies chyba pogrzebany. Ogólnie jestem zaspokojony. Szczegółowo nie. Ci, którzy lubią żółty ser, mogą jedynie uwiecznić jego recepturę w swoich poufnych dziennikach. Technologii produkcji serów żółtych i twardych grozi zupełne zapomnienie. Należy strzec serowarów przed staraniem o zakup technologii, linii produkcyjnych, przed uzależnieniem się od Szwajcarów, Holendrów, Duńczyków.

Stoi przed nami jednak sprawdzenie słów de Gaulle'a. Czy rządzenie krajem, w którym są tylko dwa gatunki sera, jest łatwiejsze?

RYSZARD ROWIŃSKI



Fot. K. Szmajs

W rozmowach o Zielonej Górze słyszy się często opinie o jej estetyce, planistycy, architekturze. Dla wielu urok starego miasta jest wymowny. Był czas, kiedy wizje przyszłej Zielonej Góry utożsamiano z ideałem piękna i wygody. Jeszcze piętnaście lat temu mieliśmy odwagę marzyć o kształtach domów na Wzgórzach Braniborskich — podobnych do raf koralowych. Życie okazało się jednak decydującym projektantem. Nowe osiedla nie mają w sobie zbyt wiele z wcześniejszych wizji. Ale czy dalekie, nierealne nawet projekty nie są nam już potrzebne?

Zielona Góra nie ma 300.000 mieszkańców i zapewne sporo czasu upłynie zanim zbliży się do tej wydumanej kiedyś liczby. Wszakże musi już rozwiązywać takie same sprawy i problemy, jak wielkie miasta. Borykamy się, podobnie jak poznańscy czy warszawscy, z niesprawnymi usługami, komunikacją, gospodarką komunalną, ogrzewaniem i brakiem mieszkań. Zapanowała nad tymi dziedzinami jakaś monstrualna niewydolność. Szczególnie w budownictwie uwidacznia się w sposób ostry choroba trend naszej gospodarki. Czy powinniśmy się specjalnie dziwić, że także u nas jest źle? Przecież nad każdym polskim miastem rozciąga się to samo niebo...

CZAS NIEWDZIĘCZNOŚCI

Zielonej Górze już dawno stuknęła po balzakowska rocznica wyzwolenia. Rodo wód jej jest tak wiekowy, że przestało się o nim mówić podniosłym tonem. Dziś — krępujemy się wypowiadać o mieście zycielskie zdania. Kiedy jednak to miasto męczyło się w powojennych powiatach i nieco później w młodzieżowym rozdygotaniu, najlepsi twórcy, artyści, planiści-architekci — przyjeżdżali i ofiarowali mu swoje usługi... Ale — jak się okazuje — lubimy radykalne zmiany ocen. Zapewne i ja ulegam temu zjawisku. Może nie dostrzegam spraw dobrzych, bo z czasem zaciera się krytycyzm? Powszechne stało się narzekanie. Czy jednak uzasadnione?

Dla Katowic stanowimy ciągle jeszcze odniesienie do porównań. Na przykład ich powietrze jest ponad 1.000 (tysiąc) razy bardziej zanieczyszczone niż nad Zieloną Górą. Mamy tu najwięcej lasów. Jeziora i ich piękno jeszcze trwają, chociaż niektórzy gotowi byłiby przejść do porządku dziennego nad ich dewastacją. Wartości te są darem świata przyrodniczego. W symbiozie z nimi żyje się nam lepiej niż Polakom w okęgach przemysłowych.

MIASTO TWORZY KAŻDY

Srodowisko przestrzenne jest pod ciągłą presją. Rozwój wielu dziedzin gospodarki, wzrost populacji, cywilizacja — nie są bez wpływu na przestrzeń, w której się egzystuje. Powinno się pamiętać, że przestrzeń nie jest prywatną sprawą człowieka, nawet wtedy, kiedy wydzierżawia on działkę. A zatem o mieście decyduje nie tylko władza, lecz w takim samym stopniu ci wszyscy, którzy narzucają mu swoje widzenie. Swoje plany, interesy, działania. I dopowiedzmy — największy wpływ na każde srodowisko przestrzenne mają ci, którzy nie trują się, by zrozumieć, że operują bardzo delikatnym tworzywem. Z tego spło tu zagadnień rodzą się niebezpieczeństwa. Nieodpowiedzialne decyzje dotyczące miasta wywołują w nim bardzo skomplikowaną sieć uzależnień. Przede wszystkim groźna są skutki niekompetencji. Będzie ona gnębić ludzi przez dziesięciolecia. Wyobraźmy sobie, że rozbudowano osiedla i źle rozplanowano ulice, wodociągi, kanalizację, zielen. Co będzie z Zieloną Górą za pewien nie zbyt odległy czas, bez od dawna niezbędnej oczyszczalni ścieków? Co stało się

Wspólne niebo

TOMASZ FLORKOWSKI

z jeziorem Sławskim, zwłaszcza po dzie sięciu latach wpuszczania do jego wód ścieków z miasteczka? Nie słyszało się dotąd, aby ci, którzy nie w tej sprawie nie zrobili — mimo wykonanych projektów oczyszczalni, mimo środków, mimo decyzji — odpowiadali. A jezioro Sławskie już w połowie jest martwe. Jest atroficzne — jak określa się w nieco za kamuflowany sposób tę tragiczną sytuację. Tych okoliczności nie narzucił nam nikt od nas niezależny. Czy kosztowna, naturalna, inwestycja, jaka będzie oczyszczalnia ścieków w Zielonej Górze, nie powstaje wyłącznie z braku pieniędzy? Co właściwie naprawdę w tej kwestii dotąd zrobiono?

WIADUKT

Z licznych innych dyskusyjnych tematów, jakie niesie rozwój dzisiejszej Zielonej Góry, wybiorę czuły fragment dotyczący komunikacji. Konkretnie — wiadukt.

Gdyby urbanisci w pierwszych latach po wojnie, ale i później, szanowali dobrego zwyczaj uczenia się od poprzedników, wiadukt znalazłby się w całkiem innym miejscu. Jak wiadomo zielonogórski wiadukt AD 1987 oraz w 1970 roku, kiedy rozpoczęto jego budowę, i przede wszystkim w 1960 — gdy wyznaczano mu lokalizację, jest tam, gdzie jest. Stał w tym miejscu z całym bagażem obciążeń. Nieporadny, bo przecież „strzeżaj” w Park Tysiąclecia, na co aż tak wielu z pasją krytycznie wskazywało. Trzeba było wiadukt albo rozdzielić, albo — przepolować Park, do czego w końcu nie doszło i wyprowadzono ruch w kierunku Wrocławia drogą okrężną. Wiadukt jest na pewno dziełem niemożliwego wtedy do przełamania schematyzmu i uporu niektórych fachowców. Wyrosł z braku wyobraźni, co później mądrze określił doktor Marian Kopij: „Cena braku marzeń zawsze jest wysoka”. Tego fatalnego i pełnego konsekwencji błędu naprawdę można było uniknąć, gdyby w porę sięgnięto do bibliotecznych annałów. Otóż Niemcy kształtowali Zieloną Górę od bardzo dawna, od czasu kiedy Nadodrze straciłszy w średniowieczu, Posiadali więc doświadczenia i poczucie skali miasta.

Gdy w 1925 roku prof. dr inż. Herman JANSEN opublikował plan Zielonej Góry — nie było dzisiejszych ulic Nowotki i Waryńskiego. Późniejsze trasy tych arterii — dziś części obwodnicy miejskiej — wyznaczył profesor berlińskiej politechniki. Ale najważniejsze z tego planu jest mianowicie to, że ulicami wówczas nieistniejącymi obok obecnego hotelu „Polan”, widział on bezpośrednie, proste przebiegi na kierunku północny, na Sulechów, Szczecin, Poznań. Otóż to!

Powojenni urbanisci powinni byli tej idei bronić! W rezultacie wiadukt i cała sieć komunikacyjna byłaby dziś inna. Cechowałyby je logika i czytelność. Funkcjonowałyby bez aktualnej niewydolności, która i tak kiedyś spowoduje konieczność zdecydowanych, radykalnych przekształceń się ci komunikacyjnej miasta.

Cóż, nie szanowaliśmy dawnych pomysłów. Byliśmy zbyt zapatrzeni w to, co sami wydumaliśmy. Przykład ten nie jest tylko zamierzłą sprawą, chociaż nie wyobrażam sobie jak teraz można byłoby ją odwrócić. Warto jednak całość od nowa przeanalizować, lub przy najmniej się zastanowić. Przecież nie tak stary wiadukt już się rozlatuje. Stoi na dodatkowych, żelaznych podporach. Za niemałe pieniądze, które odbiorą nam możliwość manewru np. przy projektowaniu oczyszczalni miejskiej — ko

nieczna jest jego naprawa. Może warto zastanowić się nad wiaduktem w „starym miejscu”? Może ku temu jest jeszcze pora? Może dalekie, odważne myślenie, które nie zawsze znajduje zwolenników, okaże się tu akurat celowe?

WYGODA WYNAGRADZA TRUDY

Urbanista jest gospodarzem, porządkującym w mieście dotychczas ludzki i czas. Im głębiej utożsamia się on z mieszkańcami, tym większą osiąga kompetencję i pewność działania.

Niedobre i próżne są tendencje niektórych do zachwyty nad tym, co się „wymyśliło”. Urbanista niczego nie wymyśli w oderwaniu od życia, a więc bez znajomości, dogłębnej i autentycznej, przestrzeni, którą przy pomocy ołówka i wyobraźni porządkuje. Proponując rozwiązania, ma obowiązek znać przeszłość oraz współczesne realia, technologia i technikę wykonawczą. Można się

niekiedy zetknąć z błędną oceną roli architektów, jako posiadaczy tajemnej wiedzy. Oni sami — bywa — nie negują tej próżnej opinii, jakby zapomnieli, że nigdy nie byli więksi i ważniejsi niż poprzez prostotę. Nawet twórcą niesmiertelnej głowicy korynckiej z liści akan-tu, podpatrzył ją w roślinie.

Wszakże architekci i urbanisci mają prawo do własnych wizji. Jeśli towarzyszy im entuzjazm, powinni ujawniać kształty swych marzeń. Niech zatem myślamy nie tylko o 300.000-nej, ale i milionowej Zielonej Górze. Im więcej odwa-gi w mądrym marzeniu, tym większe możliwości wyboru.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ



STRZEŻCIE DZIECI SWOJE

Była upalna lipcowa niedziela. Cztery dziewczynki chętnie pojechały autobusem ze wsi do miejskiego kościoła. Tym chętniej, że w domu było smutno — mama parę dni wcześniej urodziła wyczekiwane bractwisko, który niebawem jednak zmarł.

Siostry wysiadły na dworcu. Ale tylko dwie poszły na południową mszę, najmłodsza sześciolatka i najstarsza — dziesięcioletnia. Dwie „papuszki-nerozłączki”, siedmioletnia i ośmioletnia, zostały w centrum. Nie oddaliły się zbytnio. Zostały niedaleko przedszkola, w ogródku. Hus-tały się, biegały, bawiły.

Około czternastej wszystkie siostry spotkały się i nie czekając na autobus postanowiły wrócić do domu. To przecież tylko trzy kilometry... Jeszcze zrobili siusiu, po kręciły się po dworcowej poczekalni. Tam zaczął je mężczyzna. Jak potem opisywały, był młody, z ciemnymi falowanymi włosami, z wąsikami. Początkowo grzecznie pytał, kim są, co robią w mieście, gdzie mają rodziców. Odpowiadały na wszystkie pytania, ale nie chciały zatrzymywać się przy nieznanym: wyszły z dworca i stanęły koło pobliskiej cepelli. Wtedy pytania mężczyzny stały się bardzo głośne, obcesowe. Jeszcze nikt na nie tak nie krzyczał. — Ależ wy kłamiecie. Muszę was zaprowadzić na milicję. Tam powiecie prawdę! Gdy dwie z najbliższych stojących dziewczynek mężczyzna złapał za ręce, wiedziały już, że dzieje się coś niedobrego. Najmłodsza i najstarsza uciekły. Zostały płaczące, wyrwijające się i usiłujące wytłumaczyć, że wszystko co mówią, jest prawdą, że które bawiły się wcześniej na huśtawkach. Mężczyzna mocno trzymał rączki dziewczynki i rzeczywiście obrał kierunek prowadzący do miejscowego komisariatu. Nie doszedł tam. Po przejściu około 12 metrów, w pobliżu domu towarowego, kazał dziewczynkom przejść przez ogrodzenie i cicho zachowywać się. Znajdowali się teraz na terenie tzw. zaplecza domu towarowego, miejskiego targowiska i pijalni piwa. W pobliżu nikogo nie było. Ludzie chronili się przed upałem, może jedli obiady. Mężczyzna zaciągnął płaczące dziewczynki do ciemnego murowanego szaletu. I tam zaczęło się...

Mężczyzna groźbą i biciem zmuszał dziewczynki do dotykania, całowania członka. Wreszcie — rozebrał je i podnosząc kolejno, jedną, potem drugą nasadzał na członka. W pewnym momencie któraś z siostr wyrwała się i z krzykiem „Mamo, ratunku!” zaczęła uciekać. Mężczyzna postawił drugie dziecko na ziemi i zaczął biec, by tam-tą złapać. Wtedy i ta druga wybiegła. Mężczyzna stracił kontrolę nad sobą i swoimi ofiarami, i to wystarczyło, by dzieci zdołały uciec. Trzymając się za rączki, biegły w stronę domu.

W tym czasie zaniepokojony ojciec przyjechał rowerem do miasta. Po drodze spotkał dwie córki, które uciekły

jako pierwsze. Wyjaśniły ojcu, że siostry jakiś pan zabrał na milicję... Po kilkuset metrach ojciec napotkał swoje płaczące, zakrwawione dziewczynki. Były wystraszone, nie umiały powiedzieć nic sensownego, trzęsły się i cały czas płakały. Do Pogotowia Ratunkowego nie było daleko. Stamtąd zabrano dzieci do szpitala. Badania ginekologiczne potwierdziły przypuszczenia, iż na dzieciach dokonano gwałtu. Dziewczynkom udzielono pomocy. Jeszcze tego dnia, w obecności rodziców, opisywały milicji sprawę, wygląd owego mężczyzny, składały zeznania.

Jak podała „Gazeta Lubuska” 7.07. „Po 24 godzinach podejrzany został ujęty przez milicję. Okazał się nim 23-letni mieszkaniec Gubina, karany w przeszłości. Wyjaśnił, iż po dokonaniu gwałtu udał się do domu i o godzinie 17-tej poszedł spać”.

Szukano go całą noc i pół dnia. Rysopis podany przez dziewczynki nie był zbliżony. Właściwie zgadzał się tylko jeden element opisu: biała bluza w niebieskie pasy. Najwięcej pomogły przesłuchania pracowników dworca autobusowego. Mężczyznę podobnego do tego, którego widziano w niedzielę, ktoś rozpoznał w okolicach pobliskiej wsi. Ślad jednak znów powracał do Gubina. Pomogło też sprawdzenie kartoteki osób notowanych już za podobne czyny — w tym wypadku gwałt na osobie pełnoletniej.

Wśród kilku mężczyzn dzieci rozpoznały tego, który do puseł się czynu przestępczego. Nie wskazywały nań od razu. Były wystraszone, wyraźnie się go bały. On zaś kilka minut przed konfrontacją prosił, by nie pokazywać go dziewczynkom i rodzicom, spuścił głowę i milczał.

Przypuszcza się, że w Polsce rocznie może być kilkadziesiąt przypadków zgwałcenia dzieci. Ale nie wszystkie kończą się takim szybkim ujęciem sprawcy, jak w przypadku zdarzenia gubińskiego. I nie wiadomo, co o tym świadczy — czy mniejsza presja społeczeństwa, czy szybkość organów ścigania, ich prężność?

Jaki los szykuje gwałcieliom artykuł 168 Kodeksu Karnego? Paragraf 1: „Kto przemocą, groźbą bezprawną lub podstępem doprowadza inną osobę do poddania się czynowi nierządnemu lub do wykonania takiego czynu, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10”. Paragraf 2: „Jeżeli sprawca działa ze szczególnym okrucieństwem albo dopuszcza się zgwałcenia działając wspólnie z innymi osobami podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy niż od lat 3”.

Wiemy zatem, jaką cenę za swe barbarzyństwo zapłaci młody, zdrowy mężczyzna. Nie wiemy natomiast, jaka jest cena szokującego przeżycia dwóch małych dziewczynek.

MAŁGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

W CAŁYM KRAJU!

REKLAMA
w naszym piśmie żyje dwa tygodnie.
Zlecenia od przedsiębiorstw, instytucji
i osób prywatnych przyjmujemy
BIURO REKLAM I OGŁOSZEN
Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego
Zielona Góra, al. Niepodległości 25
tel. 46-61 do 64
**ogłaszajcie się
w nadodrze**

Nie jestem maniakiem czy zbroczeni-
cem, robię to wyłącznie dla pie-
niędzy, jak każda dziewczyna. Nie jes-
tem też pierwszym inżynierem, który
w ten sposób doszedł do czegoś. Jako
inżynier budowlany z dyplomem WSI
zarobiłbym miesięcznie, bo ja wiem?
może trzydzieści tysięcy. A ile kłopo-
tów, ile użerania się z murarzami, hy-
draulikami, zbrojarzami, szefami, rewi-
dentami! Mnie nikt nie kontroluje, je-
stem panem nad sobą. Lubię życie
urozmaicone, dobrze zjeść i wypić, za-
bawić się, mam to, czego pragnę. Wiem,
że kiedyś będę musiał przestać, że znu-
dzi mnie to, że nie będę ani atrakcyj-
ny, ani dobry, do tego czasu muszę zio-
żyć tyle gotówki, że i kiepska emery-
tura nie będzie mi straszna. Nie, nie
jestem chory, ale do państwowej roboty
ja już się nie nadaję. Kogo w moim
wieku stać na sony i video, mebelki
dębowe made in Swarzędz, dywany pe-
wexowskie, kuchnię jak z prospektu?
Nigdy nie byłem za granicą, a mam
konto w PeKaO. Fiata. Złoty sygnet.

Sam sobie nie wierzę, że urodziłem
się w rodzinie pegeerowskiej, z matki
dojarki i ojca traktorzysty, i że moje
siostry też doją krowy, a bracia orzą
hektary, i jeśli nie ukradną, to przeda-
cienko. Niewiele brakowało, a byłbym
jednym z nich. Proboszcz mi pomógł.
Namówił moją matkę, by posłała mnie
do budowlanki i kazał jej przychodzić
po rzeczy z darów. Teraz ja wożę im
dary, a oni nawet nie domyślają się,
za co kupuję te gumy do żucia, perfu-
mki, marlboro. W ich oczach jestem
kimś, inżynierem pracującym w Zie-
lonej Górze. Czasem matula spyta, dla-
czego się nie żenię. — Masz mieszka-
nie, Pietrusz, fach... — Poznam życie,
mama, to się ożenię — cyganie. — Taż
tobie idzie na dwudziesty szósty rok.
Ojciec, jak miał tyle lat, co ty... —
Wiem, wiem. — Nie mówię, że gdy był
w moim wieku...

Pierwsza moja dziewczyna, najład-
niejsza z tych, które znałem, miała na
imię Donatę, pierwsza i ostatnia, wszy-
stkie następne były już kobietami. Jej
jednak zawdzięczam to, że jestem kim
jestem. Nigdy nie poszedłem z nią do
łóżka, prawdę mówiąc nie umieliśmy
się pocałować. Po lekcjach chodziliśmy
do lasu, na dyskoteki, do kina, do ka-
wiarni, zawsze Donata fundowała, a
pieniędzy miała jak lodu, w przeciwie-
ństwie do mnie. Lubiłem ją. Kiedyś po
lekcjach zaprosiła mnie do siebie, do
domu, mieszkała niedaleko budowlanki,
proponując przesłuchanie najnowszych
płyt. — Będziemy mieli video — prze-
rwała moje rozmyślenia.

Ojciec Donaty pracował w Libii czy
Syrii, raz w roku przyjeżdżał na urlop,
przywoził, mój Boże! tyle towarów, że
oczy wylazły mi na wierzch, gdy Do-
nata opowiadała, co dostała. Gdybym
miał dziesiątą część tego bogactwa, co
ja mówię! setną, byłbym szczęśliwy.
Jej matula, z zawodu nauczycielka, nie
pracowała, jak to się ładnie mówi: pro-
wadziła dom, gdzie wszystko wychu-
chane, zadbane, jak nie w Polsce.

Donata otwiera furtkę, typie do mnie
porozumiewawczo wzrokiem. Oj, naslu-
cham się tych płyt, nasłucham, myślę
sobie. Żeby chociaż wypadł jako tak-
ko. I w tym momencie otwierają się
drzwi, na ganku staje kobieta ze szczo-
tką. — Już ze szkoły? — Mamo, to jest
Piotrek — przedstawiła mnie jeszcze
bardziej zaskoczona niż ja. Pocałowa-
łem starą w rękę, tyle już wiedziałem,
i czekam, czy każe wejść do domu. —
Poczęstuj pana Piotra piwem albo za-
parz kawę. Pan z pewnością napije się
tuborga, jak każdy mężczyzna. A co to
jest? — Cześć, Piotrek, nie spytalem,
byłoby mi głupio. — Postuchamy mu-
zyki, potem będziemy uczyli się do ma-
tury. Piotr jest dobry z polskiego. —
Ja i polski! Pokój urządzonej w stylu
nieokreślonym, Donata wyciąga ada-
pter stereo, sony, siedzimy, patrzymy
na siebie, milczymy, a muzyka jakby
pływała w powietrzu, dociera do nas
z każdego kąta. Gdyby matki nie było
w domu, jestem przekonany, muzyki
słuchalibyśmy inaczej. — Jest coś od
ojca. Pojeżdż, dziecko, na Westerplatte.
Pan Piotr poczeka. Nie musisz się spie-
szyc.

Nagle zapragnąłem mieć to wszystko
i postanowiłem sobie, że będę miał
adaptar, płyty, plakaty. Był taki mo-
ment, że chciałem coś ukrąść, wstałem,
wziąłem z popielniczki pierścionek,
pewnie złoty. — Donata dostała od o-
jca na urodziny — usłyszałem głos jej
matki, wzdrygnąłem się, upuściłem pier-
ścionek na podłogę. — Wypije pan ze

mną koniaczek? — Wzruszyłem ramio-
nami. Wyszła, zostawiając za sobą za-
pach drogich perfum. — Proszę — po-
dała mi po chwili koniakówkę. — Fran-
cuski. Pił pan koniak francuski? — Tak
— skłamałem, przystawiłem koniaków-
kę do ust i wypilem jej zawartość jak
wodę. Brrr. A ona sączyła go powoli. —

Ja we włosy, drapała w ramiona. A
później i ja byłem na górze, i ja mie-
rzyłem jej włosy, i postękiwałem, i
pojękiwałem. — Zaraz wróci Donata.
Chyba nie chciałabyś, żeby zastała nas
tu? — Było mi to obojętne. Ubrałem
się, dopilem koniak, wcale nie myśląc
o Donacie. Jeszcze w drzwiach poca-

le razy musiałbym chodzić do matki
Donaty?

Po wufie zwoiniłem się z lekcji, po-
wiedzialem wychowawcy, że muszę iść
do lekarza na badanie. Akurat wtedy
byłem po egzaminie na ratownika i
takie badania musiałem mieć. W bur-
sie umyłem się, pokropilem jakimś
perfumami, nawet nie wiedziałem, że
pachnę jak kobieta. Te kilkadziesiąt metrów
od bursy na osiedle przebiegłem, ale
gdy znalazłem się między willami, zgłu-
białem, nie pamiętałem, w którą furtkę
wczoraj wchodziliśmy. Naciśnięciem przy-
cisk dzwonka i czekam, w razie czego
powiem, że szukam pokoju. Udało się,
na ganek wyszła matka Donaty, nie
wierzyłem, że to ona. Wczoraj wygląda-
ła jak matka, teraz przypominała jej
starszą siostrę. — Zjesz coś? — Zja-
diem. — Wypijesz kawę? — Wypilem.
— Postuchamy muzyki? — Zwirowa-
ła? Ale przytaknąłem i czekam, co bę-
dzie dalej. Żeby mi te dwa dolary dała
już teraz. — Może chcesz się wykapać?
— Chciałem. Poszedłem do łazienki, lu-
stra na podłodze, na ścianach, sufit też
jak wielkie lustro. Napiłem mięśnie
brzucha, sprawdziłem muskuly, wcią-
nąłem powietrze w płuca — nie wyglą-
dałem jak atleta, ale było na co popa-
trzeć. Już się nie bałem, wczoraj mia-
łem wyrzuty sumienia, dziś nie. Stana-
łem pod prysznicem, jeszcze raz wymy-
łem piersi i brzuch, pokropilem się dro-
gimi perfumami, które stały na półce.
W pewnym momencie pomyślałem o
Donacie: co będzie, jeśli ona wejdzie
do domu?

Jak mnie Pan Bóg stworzył, wróci-
łem do pokoju i stanąłem jak wrzyna-
lustra! W obu kątach stoją lustra. Po
co to? — chciałem spytać, ale wtedy
matka Donaty uklękła przede mną,
wzięła moją rękę w palce i ogle-
dała go jakby był ze złota co najmniej.
Czuje, że jeszcze chwila, a nie wytrzy-
mam, trysnę jej w oczy, a to byłby
wstyd. Scisnęła mnie, mało nie krzyk-
nąłem z bólu, ptaszek skurczył się, a
ona znowu go wzięła w palce i poliza-
ła. A fe. Położyła się na dywan, i
spoglądała to w jedno lustro, to w dru-
gie. Stoję i patrzę, i widzę, że włosy
wygoliła sobie w paseczek, i widzę je-
szcze jak palcami rozgarnia te włosy,
ale nie wiem, co robić. — Antośka pro-
si, byś ją pocałował. — Zgłupiałem, ja
ka Antośka? A ona pokazuje między
swoje nogi: — Moja antośka. Niech
amorki pocałują ją. — Niewygodnie,
położyłem się na dywan, a tu taki
zapach, że aż kręci w nosie. Spodobało
mi się to. — Jeszcze, jeszcze — szys-
załem. Dwa razy nie trzeba mnie prosić.
Może dostanę na dzinsy? Skoro ona
chce, żebym całował jej antośkę, dla-
czego nie miałaby pocałować mnie w
mańka? I tym mańkiem prosto w jej
rozwarłe usta, zabolalo mnie, pewnie
zaciśnięła zęby. Wyleciało ze mnie. Za-
raz wrzasnę, przepędzi mnie. Cisza, a
ona jeszcze mocniej ssie. Taka sprawa?
To ja w antośkę językiem. Trudno od-
dychać, podniosłem głowę, patrzę w lu-
stra, a antośka do krwi poraniona.
Usiadłem obok i czekam, co będzie da-
lej. Matka Donaty leży, jakby zwaliła
tonę węgla: ręce rozrzucone, głowa roz-
czochrana, piersi niby woreczki goto-
wanego grochu. Mnie się dopiero za-
chciało do jej antośki. Po bożemu po-
łożyłem się na niej. Nie pamiętam, ile
razy zaczynałem i opadałem. Gdy już
miałem dość, bo miałem dość, jej też
pewnie było dość, powiedziała, żebym
przyszedł dopiero za tydzień, we wtorek
o tej samej porze. Ubrałem się i
czekam, co jeszcze powie. — Idź już, za-
raz Donata wróci ze szkoły, a pewnie
nie chciałaby, aby cię tu zobaczyła. —
Chcę kupić sobie dzinsy — sam nie
wiem, kiedy wymknęło mi się. Doło-
żyła mi dziesięć dolarów.

Z Donatą nie zerwałem, unikałem
jej, wstydzilem się, że ja i jej matka...
— Matura za pasem, muszę się przylo-
żyć. — Do jej mamuńki chodziłem sys-
tematycznie, dwa razy w tygodniu, za-
wsze w obiad. Potem już nie dawała
mi dolarów, kupowała w Pewexie a to
skarpety, a to kurtkę dzinsową, a to
sweterek, raz nawet, przed samą matu-
rą, dostałem perfumy demin, sprawdzi-
łem, za sześć dolarów. U niej pierwszy
raz w życiu jadłem banana.

Chciałem zdawać na WSI, wiedzia-
łem, że bez znajomości nie mam wiel-
kiej szansy. Spytałem matkę Donaty,
czy by mogła mi pomóc. Chyba pomo-
ga? A może nie? W każdym bądź ra-
zie dostałem się na budownictwo. Do-
nata też. (cdn)

ETAT ZASTĘPCZY

KATARZYNA KRZYWONOS



Bolesław Kowalski — fragment grafiki

Jeszcze jeden? — Zrobiło mi się ciepło,
przyjemnie, podniosłem oczy na nią.
Uśmiechnęła się, trąciła mnie kolanem,
jakby od niechcenia rozpięła bluzkę,
znowu się uśmiechnęła. Zobaczyłem jej
dłoń na swoim kolanie, wyżej, jak się-
gała mojego rozporka. Chciałem wstać
i wyjść, ale ona powiedziała, że je-
stem przystojny i dobrze zbudowany,
i jeszcze coś, czego nie zrozumiałem.
Pocałowała mnie w policzek, w czoło,
w usta, nie raz, wiele razy mnie całowa-
ła i tą ręką zanurzoną w rozporku
sięgała tam, gdzie nawet matka nie
śmiała. I ciągle coś mówiła. Kiedy się
zorientowałem, byłem już rozebrany,
jak ona. Wstydzilem się, zamknąłem
oczy, żeby niczego nie widzieć, a ona,
słyszałem, postękiwała, pojękiwała, to
chwyciła mnie za włosy, to całowała,
to kolanami ścisnęła moje biodra, to
opadała na mnie i znowu palce wbiła-

łowała mnie w usta i wcisnęła mi do
ręki jakiś papier. Patrzę, a to dwa
dolary. Jesu! dwa dolary. — Przyjdź
jutro przed obiadem. Tylko, pamiętaj
— cmoknęła mnie na pożegnanie.

Jak kamień z procy wyskoczyłem na
Botaniczną. Dokąd teraz iść? Do bursy?
Pojechałem zerówką do centrum, w
Śródmiejskim za całe dwa dolary ku-
piłem kenty, czekoladę i puszkę dala.
Pomyślałem sobie, że poczęstuję kole-
gów. A jeśli spytają mnie, skąd to
mam? Czekoladę zjadłem, piwo wypilem,
a papierosy wetknąłem do kiesze-
ni, wtedy jeszcze nie paliłem systema-
tycznie. Dopiero w bursie, już leżąc w
łóżku, wspominając to popołudnie, za-
łowałem, że tak lekkomyślnie wyda-
łem dolary. Może jutro znowu dosta-
nę? Na levisy trzeba dwadzieścia. To

NOWAK BIERZE WYPŁATĘ

Ciąg dalszy ze str. 1

gustacja potraw. Kierownika stół-
ki przebiegał palacz w LWWG „Polmos”,
po szkole podstawowej i miesięcznym
kursie palaczy, zarobił tyle samo, a ar-
tykuły do darmowej degustacji o ile
ciekawsze i znacznie ostatnio droższe
od schabowego, poza tym tenże palacz
otrzymuje 1200 zł dodatku branżowego
— zapewne na uspokojenie nerwów
nadszarpniętym widokiem produkcji w
LWWG. Z liczb, faktów i obserwacji
własnych wynika, że palacze mają
jeszcze lepiej niż sprzątaczkę. Dlatego
dziwię się, że na przykład takiego in-
żyniera informatyka za 15 tys. plus
premii, żona jeszcze trzyma w domu.
Choć jeśli żona jest samodzielną księ-
gową materiałową, to przyniesie do
domu 11700 zł plus premii, a wtedy
inżynierostwo jadają zdrowo, bo skrom-
nie. Równie zdrowy pod względem
diety może być mariaż kasjera za 19
tys. (bez deputatu, ale za to z pełną
odpowiedzialnością) z panią pracującą
w okienku na pocztę za 13 tys. plus
premii.

Może z duchem XXI wieku wykształ-
cił się super operator w Zakładach
Elektronicznej Techniki Obliczeniowej,
ale nie z duchem 1987 roku, gdyż pen-
sja od 8—13 tys. zł nie wystarczy mu
nawet na zakup literatury fachowej.
Lepiej już być obchodowym węzłów
przesypowych w Zakładzie Energetycz-
nym: 120 zł na godzinę plus premii,
plus zniżka energetyczna, plus deputat
węglowy — a wszystkie te dobra jed-
ynie za wykształcenie zawodowe.
Elektromechanik, mechanik, murarz i
spawacz są w Zakładzie Energetycznym
w takiej samej cenie jak pan obcho-
dowy.

Swoistą elitę zawodową stanowią
kierowcy. Z prawem jazdy kategorii
„C” można zarobić w Zakładach Tran-
sportu Mleczarskiego do 40 tys. plus
masło, ser i śmietana. Kierowca w
WPKM, z prawem jazdy kategorii „D”
zarobi ok. 55 tys. plus darmowe prze-
jazdy dla rodziny. Dobrze się mają
spawacze, lakiernicy i mechanicy sa-
mochodowi, od 30 do 50 tys. Dla po-
równania ordynator Oddziału Chirurg-
icznego szpitala w Zielonej Górze, po
dwudziestu latach praktyki, zarabia ok.
53 tys. (w deputacie wycięty komus wy-
rostek robaczkowy). Lekarz przed spec-
jalizacją po pięciu latach pracy zara-
bia 24 tys. Nie udało mi się stwier-
dzić, ile zarabia profesor wyższej uczel-
ni, ale sądzę, że ta elitarna grupa zara-
bia nieco więcej od palaczy.

Podane przykłady zarobków różnych
grup zawodowych w sektorze uspo-
łecznionym nie uwzględniają zarobków
dodatkowych lub, jak kto woli, boków.
Ale wiadomo, że takie możliwości będą
mieli: murarz, mechanik samochodowy,
kierowca wywrotki, projektant, lekarz
itp., ale już nie: kierowca autobusu,
kasjer, nauczyciel, księgowa itp. Różne
też są możliwości naciągania wyceny
swojej pracy. Takich możliwości nie
ma urzędnik i pracownik na taśmie
produkcyjnej, ale wiadomo też, że ist-
nieje cały system dopisywania go-
dzin i nadgodzin, które nie zostały prze-
pracowane. Na przykład kierowca w
Przedsiębiorstwie Poszukiwań Nafty i
Gazu zarobił 100 tys. za ponad 250 go-
dzin pracy; oczywiście tyle nie wy-
jeździł, ale tyle było w kartach dro-
gowych. Wreszcie te nieszczerne depu-
taty i branżowe preferencje, które w
skali kraju mają wartość dziesiątków
miliardów złotych, a są zwykłym roz-
dawaniem bezdeputato wej części społeczeństwa.

W zasadzie we wszystkich ofertach
pracy premię traktuje się jako stały
element płacy — premii się nie przyz-
naje, ale otrzymują ją wszyscy. Pre-
mię można najwyżej pracownikowi za-
brać za jego ciężkie grzechy i przewi-
nienia.

Z powyższych powodów odpowiedź
na pytanie — kogo na „to” stać? — jest
trudna do uzyskania. Ale bardziej fra-
pujące jest pytanie, z czego żyje mał-
żeństwo księgowej materiałowej z in-
żynierem informatykiem?

Zielonogórskie nie jest województ-
wem kominów placowych. Z Zielonej
Góry i pięciu okolicznych gmin pod-
ległych tutejszej Izbie Skarbowej tyl-
ko 1170 osób płaci dodatek wyrównaw-
czy. Są to przeważnie pracownicy biur
projektowych, lecz ich zarobki raczej
nie przekraczają 600 tys. rocznie.

Wyższe wykształcenie odbija się na
kieszeni. A jak się ma plac do pono-
szonej odpowiedzialności? Otóż prze-
prowadziłem mini-sondę w czterech
dużych i dobrze prosperujących za-
kładach Zielonej Góry. Interesowało
mnie, kto w tych zakładach zajmuje
pierwsze miejsce pod względem płacy.
Oto wyniki tej sondy: w „Lumelu” naj-
lepiej zarabia malarz lakiernik, w „Za-
stalu” monter wagonów, w „Falubazie”
robotnik akordowy na odlewni, jed-
ynie w „Polmosie” odpowiedziano mi, że
to jest oczywiste, iż najlepiej zarabia
dyrektor naczelny.

Dokończenie na str. 9

Czeremchy

Takie były błękitne twe oczy,
takie były gorące twe usta,
czy pamiętasz, gdy kwitły czeremchy?

Dzisiaj żalu łą z oczu się toczy
na wspomnienie, twarz błędnie jak chusta,
czy pamiętasz, gdy kwitły czeremchy?

Takie słodkie były twoje słowa
i jak obręcz stalowa ramiona,
jakże cudnie pachniały czeremchy...

Gdzie jest teraz twoja droga głowa,
serce moje wciąż z tęsknoty kona
bo przekwitły już wszystkie czeremchy...

Jabłonie

W sadzie moim zakwitły jabłonie,
woń ich cudna dziwnie oszalała.
Pragnę ująć mocno twoje dłonie
i przypomnieć dni dawne kochania...

W sadzie moim jabłonie znów kwitną,
złote pszczoły nad nimi się roją.
Oczy twoje swą barwą błękitną,
wspomnieniami dręczą duszę moją.

Kwitną w sadzie jabłonie różowe,
woń ich czarem napelnia mą duszę,
widzę we mgle twoją drogą głowę,
dawna przeszłość znów wspominać muszę...

Gdy miłość umiera...

Tak, jakby ci iść kazano z domu,
samej, bożej i w jednej koszuli
i nie było pożegnać cię komu,
i nie było cię komu przytulić...

Nagle puste ujrzałaś swe ręce,
nagle suche uczułaś swe usta
i w samotnej, niepojętej męce,
twarz zbierała ci jak Iniana chusta...

I pojęłaś, że nie ma już słońca,
i że życie już z ciebie ucieka
a przed tobą step pusty, bez końca
i nie znana ci droga, daleka...

Noc

Noc zapadła sierpniowa, ciemna, granatowa,
Na niebie się rozesał dywan w gwiazdy szty.
Tak jest zawsze, a przecież ciągle jak od nowa,
Droga mleczna przecina uśpione błękity...

Gwiazdy drgają. Wóz Wielki gotowy do drogi,
Niebios przestrzeń szeroka, głęboka jak morze.
Czy zawiezie przed domu rodzinnego progi?
Nim się z nocnych spoczywań senna zbudzi zorza?

Dusza ludzka ochocza, pociąga ją droga,
Ziemia przecież jest tylko chwilowym postojem,
Dlatego tęsknym okiem ku gwiazdom spoziera.

Człowiek pragnie do źródeł powstania, do Boga
I życie całe tęskni za ciszą, spokojem,
A gdy dojdzie do kresu — z radością umiera...

Autorka tych wierszy w tym roku ukończyła 90 lat. Pochodzi z dawnych kresów wschodnich, jest z zawodu nauczycielką, jako poetka debiutowała przed wojną. Po 1945 r. osiedliła się w Gorzowie Wlkp., gdzie aż do emerytury pracowała w szkole. Przez całe swoje długie dojrzałe życie jej najgorętszą fascynacją była poezja, której zresztą do dziś pozostała wierna. Pisze w konwencjach tradycyjnych, zwłaszcza bliska jest forma sonetu.

Gdy zaczynałem chodzić do kina, na czelnyim hasłem kinematografii było tworzenie wszelkiego rodzaju filmów — byle z sensem. Minęło bez mała sześć dziesiąt lat i naczelnym hasłem kinematografii stało się: wszystkie gatunki owszem, BYLE Z SEKSEM.

Bez seksu film jest nieważny. Obójne czy rzecz dzieje się na „Marsie”, jak w filmach science fiction, czy w

wym schemacie wszystko, co się dzieje między mężczyzną a kobietą od chwili zapłodnienia do urodzenia dziecka. W tym wieku dziecko przyjmuje to jako rzecz całkiem naturalną i nie popada w żadne kompleksy. Toteż na wie le lat przed amerykańskim „Undergroundem”, który — poza innymi osiągnięciami — zdarł wszystkie zasłony z tajemnic seksu, Szwedzi pokazywali różności bez żadnych zahamowań.

Byle z seksem

LEON BUKOWIECKI



Hanna Szygulla „oddaje się” Murzynowi w filmie „Malżeństwo Marii Braun”

Chicago, jak w filmach gangsterskich, czy w kostiumie, jak w filmach historycznych, czy wreszcie w salonach, jak w melodramatach. Seks triumfuje wszędzie.

Nie próbuję tu analizować zjawiska i oceniać, czy to dobrze, czy źle. Myślę, że w każdym zakresie przesada w dół i w górę jest szkodliwa.

Za „moich czasów” film z Gretą Garbo, „Królowa Krystyna”, był niedozwolony dla młodzieży z powodu jednej sceny. Don Antonio de la Prada nie wiedząc, że rycerz Dohna (w rzeczywistości przebiegająca się chętnie za męczyznę królowa) jest kobietą, a nie mając miejsca w gospodzie, wprosił się do jego, czyli jej, pokoju. Na jutro reżyser Mamoulin ukazuje scenę rozgrywaną się przed totalnie zasłoniętym łóżem. Wchodzi lokaj don Antonia: — Budzę pana hrabiego. Czy przynieść kawę? — Tak. — Czy dla drugiego pana też? — Tak. — Lokaj ze zdumieniem kiwa głową.

Zdaniem przedwojennych cenzorów, scena ta miała charakter dyskretnego popierania homoseksualizmu (mimo, że wszyscy na widowni wiedzieli, że hrabia spędza noc z królową). W Paryżu film był dozwolony od lat 6, a w Warszawie, w powojennym wznowieniu, od 12.

Dawno udowodniono, że nieświadomość młodzieży jest szkodliwa. Chłopiec, który od obcych dowiaduje się, „jak powstają dzieci”, często bywa narażony na niedwuznaczne propozycje od starszych kobiet, nie mówiąc już o mężczyznach. Z drugiej strony rodzice, a tym bardziej szkoła, uświadamiają najczęściej za późno i nieudolnie. Wydaje mi się, że najlepszy jest obecnie szwedzki system uświadamiania dzieci: chodzi tu o audycje dla siedmiolatków. Telewizja ukazuje w rysunko-

W jednym z wczesnych filmów Mai Zetterling, „Zakochane pary”, młoda, nieświadoma parka przechodzi obok „kochających się” psów i zachęcona tym widokiem — robi zaraz to samo — w pozie zwanej „końską”, bo tak nauczyły ich psy. W innym filmie matka, zakochana w swym czternastoletnim synku, widząc, że bardzo mężczy się pod koldrą, zdiera te koldrę i pieści go, co nawet w Szwecji było pewnym szokiem.

Bezpośrednio po tych „wstępach” scene superseksowe rozpowszechniły się w filmach artystycznych. Celuje w tym Walerian Borowczyk, wyprawiając w swych filmach niemałe brewerie. W słynnej „Bestii” ukazuje nagą, przerażoną dziewczynę uciekającą przed ołbrzymim czeladnikiem malpizsonem, który, mimo gonitwy, ukazuje w całej długości swój członek. Dziewczyna w obawie przed dragalem podciąga się na gałęzi, a malpizson onanizuje się między jej stopami. Jeszcze dalej posuwa się Borowczyk w „Nowicjuszach”, zamkniętych w klasztorze. Pod oknami jednej z przyszłych zakonnic drwał klasztorny rąbce drzewo. Kawałek gałęzi, już ociosany, długości około 30 centymetrów, nagle odsługuje, wpa da przez okno do pokoju owej nowicjuski i dociera do łóża, na którym nowicjuska najwyraźniej chciałaby przeżyć przygodę. Widząc gałąź, kropka w kropkę podobną do członka męskiego, bierze ją do rąk i zażywa rozkoszy onanii. Ale tego Borowczykowi mało. W pewnym momencie wchodzi siostra przełożona, widzi, co się dzieje i pyta: — Co to jest? — Nie wiem — odpowiada nowicjuska — to wpadło przez okno. — Jeśli tak — odpowiada matka przełożona — to jest to dar z niebios. — Po czym odnosi ją do czołowej gałęzi do pobliskiej kaplicy.

W inny sposób przedstawia erotyzm Bertolucci w swym słynnym filmie „Nonecento”. Dwaj bardzo młodzi chłop-

cy, panicz i syn fornal, rozstają się, gdy panicz jedzie do szkoły. Wraca panicz po kilku latach, mniej więcej jak 10—13-letni, spotyka syna fornalę w stajni. Fornalik pyta: — Czy wiesz, co to socjalizm? — Zaskoczony nieznanym słowem panicz odpowiada: — Nie! — Na to fornalik odwraca kieszenie swych spodnek. Są puste. Panicz: Brak pieniędzy? — Fornalik: — Nie tylko to, w tej kieszeni mam dziurę. — Panicz: — To ci wszystko wypadło! — Fornalik: — Nie, bo wtedy mogę się najlepiej ona nizać. — Panicz (przeżony): — Co to jest? — Fornalik: — Jak to, nigdy tego nie robisz? — Panicz: — Nie wiem nawet, o czym mówisz. — Na to chłopiec wyjmując swoje „narzędzie”, każe paniczowi także wyjąć i namawia go, zresztą skutecznie, do wzajemnego onanizmu. Już sam dialog, absolutnie byłby nie do pomyślenia w jakimkolwiek filmie, nie tylko przedwojennym, ale nawet nakreślonym przed latami siedemdziesiątymi.

Skąd wzięło się takie rozluźnienie obyczajowości w filmie? Głównie ze znacznego zmniejszenia zainteresowania filmem z chwilą, gdy telewizja stała się powszechna i „kino przyszło do domu”. Producenti na całym świecie, zanim porozumeli się z telewizją, rwa li sobie włosy z głowy i doszli do wniosku, że jednak w telewizji — tego czegoś — nie będzie można pokazać, przeto należy pokazać to w kinie, zwa białając widzów. Trzeba powiedzieć, że pierwsze „mocne uderzenia” zdążyli egza min. Widzowie, którzy oglądali w kinie najbrutalniejsze sceny śmierci, mę tortowania, tortury itd., nigdy przed tym nie widzieli scen zapłodnienia, powstawania życia, rodzenia, gry miłosnej. Ich doświadczenie filmowe kończy ło się na pocałunku.

Kiedys zadałem pytanie Rene Clairo wi, dlaczego nie używa formatu „cinemascope”? Odpowiedział mi: — Widzi pan, Bóg stworzył człowieka istotą pionową, a nie poziomą, dlatego w atelier brak nam pionu, a nie poziomu. Ja wiem, że ludzie od czasu do czasu przyjmują pozycję horyzontalną, ale te sceny wycina nam cenzura.

W trzydziści lat później najostrejsza nawet cenzura obyczajowa pękła by ze śmiechu na takie zastrzeżenia wybitnego reżysera. Dzisiaj film bez bardzo daleko posuniętej sceny erotycznej nie jest ważny.

Louis Malle w filmie „Kochankowie” pokazał w wannie nagą Jean Moreau (jeszcze wtedy dosyć ładną) i nagiego Jeana-Marca Bory, co wywołało w liberalnej Francji skandal, a u nas zakaz kupienia filmu. Widziałem film niedawno: przewodniczący komisji wie ku, dr Henryk Depta, dozwoliłby oglądanie go od lat 12. Ten sam reżyser 10 lat później, w bardzo pięknym filmie „Szmery serca”, ukazał matkę (Lea Massari), aktywnie uczącą miłości swego piętnastoletniego synka, aby nie bał się iść do swej dziewczyny. Po nauce synek natychmiast wyskoczył z łóżka i pobiegł do pokoju obok, gdzie mieszkala jego dziewczyna. Wróciwszy na śniadanie, wyraźnie rozpromieniony, powiedział: — Udało mi się. — Na co ojciec (Francis Perrot): — Brawo!

W znakomitym obrazie Paula Schra dera „Hardcore” (porno typu mocnego), skierowanym przeciw filmom porno, akcja polega na poszukiwaniu przez ojca mężczyzny, który zwabił córkę do studia porno i zmusił do narkotyków. Aluzje do filmów porno znajdują się od tego czasu w wielu filmach, także u Skolimowskiego dwukrotnie, ale trzeba przyznać, zawsze w świetle krytycznym.

Inne tabu, które utrzymało się najdłużej, dotyczyło „seksu mieszanego”. O ile już 30 lat temu można było zasugerować, że biała dziewczyna (oczywiście trochę stuknięta) wyjdzie za Murzynę, o tyle ukazanie scen erotycznych między nimi było nie do pomyślenia. Pionierem w tej dziedzinie okazał się Rainer Werner Fassbinder, na łatwiejszym pod tym względem rynku zachodnio-niemieckim. Aż w dwu filmach, „Strach zżerać duszę”, gdzie Margit Bir (czterdziestoletnia) upodobała sobie sześćdziesiętletniego brązowego jak czekolada Araba Ali, i w „Malżeństwie Marii Braun”, gdzie Hanna Szygulla w czasie nieobecności męża „oddaje się” Murzynowi. Co ciekawe, te pionierskie filmy miały wielkie wzięcie w USA i przełamały, albo przyczyniły się do przełamania bariery między „białymi” a „kolorowymi”, jak niektórzy za oceanem nazywają wszystkich nie całkiem białych.

Dzisiaj, gdy frontowa nagość kobiet należy do „chleba powszedniego” kinematografii, gdy frontowa nagość mężczyzn także „czyni postępy”, gdy normalna kopulacja nie robi już wielkiego wrażenia, gdy filmy o lesbijkach (jak „Bilitis”) robią światową karierę, gdy „Taxi zum Klo” (film superhomoseksualny) dostaje w Niemczech zaszczytną nagrodę imienia Maxa Ophülsa, coż pozostało z wrzuszającego wierszka przedwojennego poety Kwiatkowski go:

Zdejm kimono do połowy, a będziesz ciekawa,
Jeśli bowiem zdejmiesz cało, coś ci pozostawa?

Ato jak zachowuje się kochanek, który zobowiązał się.

Daje kobiecie mniej lub co innego niż to, o co prosiła; zwodzi ją obietnicami; mówi, że zrobi coś, a robi co innego; nie zaspokaja jej pożądania; rozmawia potajemnie z własnymi służącymi; sypia często poza domem pod pretekstem wyświadczenia przysługi przyjacielowi; wreszcie pozostaje w żaźliwych stosunkach ze służbą bylejakich kochanków.

Kiedy kurtyzana spostrzeże oziębłość kochanka, powinna zabezpieczyć wszystkie posiadane kosztowności, każąc je zająć przez podstawionego wierzyciela.

Zrobiwszy to, jeżeli kochanek jest bogaty i przyjaźnie się do niej odnosi, nadal niech traktuje go z szacunkiem, a jeżeli jest biedny i bez środków, niech pozbedzie się go tak, jak gdyby nigdy nie miała z nim nic wspólnego. (...)

Dość podobieństwo do tego rozdziału występuje u Owidiusza w radach stręczycielki AMORIS: Nie bądź zbyt wymagająca, biedy zastawiasz siła, bo twoim zdobycem mogłaby się wzmknąć. Kiedy zaś w nie wpadnie, dochodzi bezwzględnie swoich praw. Węć na służbę zdolnego chłopca i dziewczynę, którzy w domu potrafią się domyślić, co ci najłatwiej kupić. Choćbyś miała zadni, żądając często, ukróćte zarządza ci skarb. Niech twoja siostra, matka pinstunka, taktowna saktowna kochanka, Zdobycy szybko rośnie, kiedy nań pracuje wiele rak. Nie masz pretekstu, by żądać nadmierunku, podaj placek, by pokazać, że obchodzisz urodziny.

Budząc zazdrość, skłaniaj kochanka do hołności. Niech w łóżku natrafia na ślady rywalu, a na twojej szufladzie znaki pieszczoły. Zwiększa zaś niech widzi dary, które otrzymasz od niego.

Jeżeli przyjdzie z próbnymi rekami, skieruj rozmowę na towary, które sprzedaje się na Via Sacra. Kiedy wyciągniesz od niego masę prezentów, powiedz mu, że nie chcesz obciążać go ze wszystkimi; poproś jedynie, by pożyczł ci pieniądze, których cięszta nigdy nie zwrócisz. Pod piekniymi słówkami ukręcaj swe myśli i skodząc obupni o pieszczołami, Truciznę da się łatwo ukręcić pod słodkim miodem.

Owidiusz, ARS AMATORIA: Na próżno będziesz się bronić, kochanka i tak wukłudz od ciebie to, co chcesz. Przewidz do niej dobrze zaplanowany handlarz, wukładając w twojej obecności towary, ona powie ci byś obejrzał, bo chce poznać twój gust, następnie cię pocałuje i poprosi, byś je kupił przysięgając, że zadowolisz się tym zakupem na cały rok. Działaj jest jej to potrzebne, nigdy też nie sprawiłbyś jej większej przyjemności. Jeżelibyś zastanowił się tym, że nie masz pieniędzy, żądała od ciebie wokała.

Co będzie, kiedy zaczniesz ci usilnie prosić o prezenty? Każdego dnia będzie mówiła, że czegoś potrzebuje, będzie zamartwiała się wydumana strata udając, że wypadł jej diament z ucha, będzie prosić cię o mnóstwo rzeczy, które obiecała oddać. Nawet adyubum miał sto ust, nie zdołałby wymienić wszystkich perfidnych sztuczek pieknych kurtyzan.

Marcellus, NA FILIS: Nie ma dnia, Filis, w którym byś mnie ogolacala. Już to przychodził pokonśwuka, płaczac z powodu utraty lustra, pierścionka lub kolczyków; już to sa jedwabie z przemutu, które można kupić za bezcen; już to pochmidła, którymi muszę napełnić twoją kasolete. Później jest amfora starego falerna lub dwoufuntowa ryba na obiad, którym podejmuję bogata przyjaciółkę. Niczego nie odmawiam ci, Filis, ale i ty też nie odmawiaj mi wiecej.

SPOSOBY NA POZBYCIE SIĘ KOCHANKA

Należy ganić i wyśmiewać jego przyzwyczajenia i wady, śmiejąc mu się w nos i wymierzając kopniaki.

Mówić na tematy, które są mu obce, pomniejszać jego wiadomości, obrażać miłość własną, szukać towarzysztwa mężczyzny, którym nie dorównuje pod względem wiedzy i inteligencji.

Lekceważyć go przy każdej okazji, krytykować mężczyzn, którzy mają te same wady.

Kurtyzana powinna okazywać, że jest niezadowolona ze sposobów, jakimi się posługuje, oddając się rozkoszy cielesnej; nie dawać mu ust do pocałowania; nie pozwalać dotykać jagdany; okazywać pogardę dla ukaszeń i zadrapań, które jej zrobił; wcale go nie ścisnąć, kiedy ją obejmuje w jakiś sposób; nie czynić żadnego ruchu podczas zespolecia cielesnego.

Domagać się zbliżenia seksualnego, kiedy jest zmęczony.

Kpić z jego przywiązania do niej. Nie odzwajemniać uścisków, odwrócić się od niego, kiedy zaczyna ją ścisnąć.

Udawać sennosć lub też wyrażać chęć pójścia z wizytą lub na zgrupowanie, kiedy on pragnie ją posiadać w ciągu dnia.

Parodiować jego słowa i gesty.

Śmiać się, gdy nie żartuje lub, kiedy żartuje, śmiać się z czego innego.

Patrzeć krzywym okiem na jego własnych służących i załamywać ręce za każdym razem, kiedy on otworzy usta.

Przerywać mu w połowie opowiadania i samej zaczynać mówić o czymś innym.

Wylizywać jego dziwactwa i wady utrzymując, że są nieuleczalne.

Wypowiadać w jego obecności do towarzyszącej mu jego służby słowa mogące go dotknąć do żywego.

Udawać, że go się nie widzi, kiedy zbliża się do niej.

Żądać od niego tego, czego nie może dać lub na co nie może się zgodzić.

A wreszcie odprawić go.

Mamy aforyzm o postępowaniu, którego powinna się trzymać kurtyzana.

„Zawodowym obowiązkiem kurtyzany jest, po dokładnym zbadaniu i długim namyśle, związać się z mężczyzną mającym, to, czego powinna pragnąć: później zjednać mężczyznę, z którym żyje, zmusić do dawania wszystkiego, do czego zmusić można, a kiedy go ogoloci ze wszystkiego, odprawić. Kurtyzana, która żyje w charakterze kobiety zamężnej, stanie się bogata, nie mówiąc się przy tym z powodu nadmiaru kochanków”. (...)

Stręczycielka Achantis. Aforyzm kończący rozdział 6 wygląda na podsumowanie rad rajfurki Achantis, które przytoczył Propercjusz: Gdyby Achantis zmieszala w wykopyanym dole ziola zebrane z grobów, natychmiast strumień zalałby pola. Swoją sztuką potrafi zawrócić kłieżyc z jego drogi, a sama w nocy przybrać postać wilka. Swoimi kłowaniami potrafiła by otumanic najbardziej czynnych mężów. Za pomocą perfidnej namowy mogłaby roznieść

uczucie w młodym sercu i niewinności utrować drogę do występku.

Dorancio — powiedziała — jeżeli chcesz skarbów Wschodu, jeżeli pragniesz tkanin z Kos, słynnych wyrobów z Teb lub wspaniałych waz, które wytwarzają Partowie, nie dochowaj wierności, okaz pogardę bogom, uciekaj się do klamstwa i tam prawa krepujące wstydlivość.

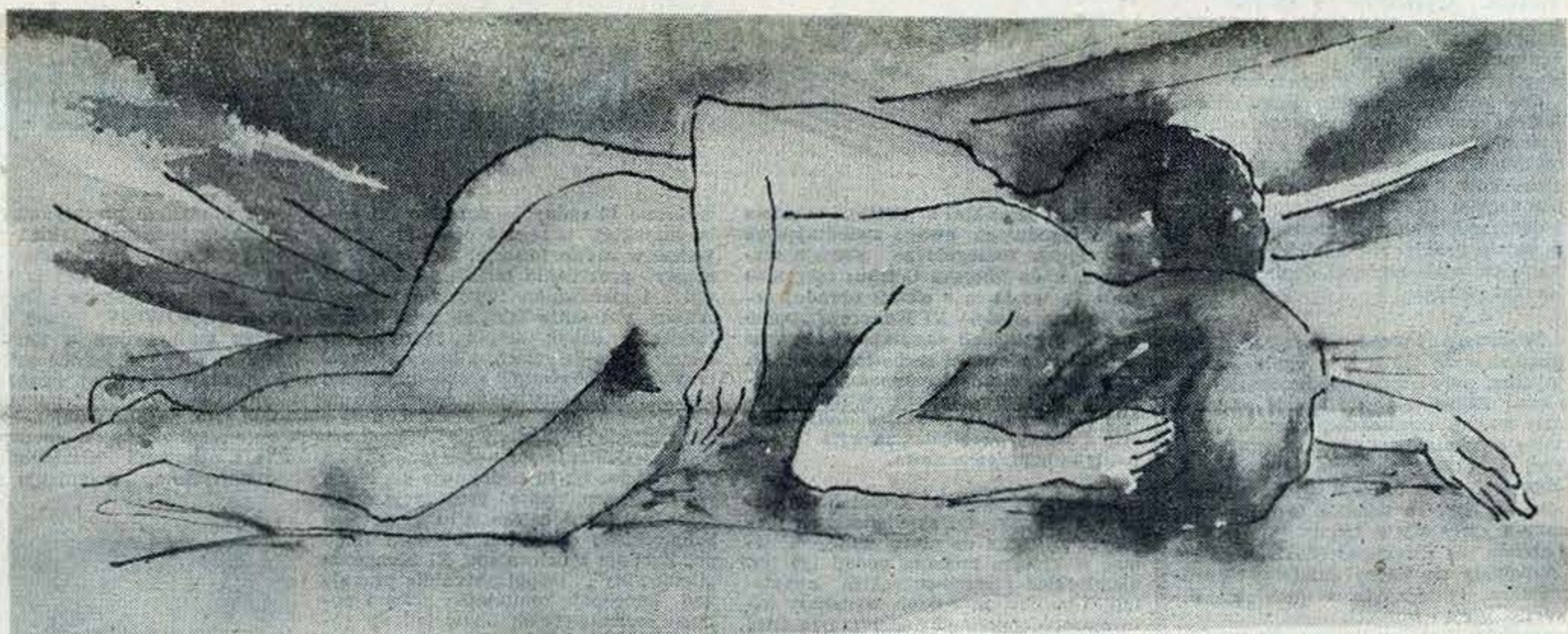
Przekonaj znanego, że twoje względy wymagają większych starań! Odkładaj pod tysiącem pretekstów noc, o którą cię prosi, a miłość będzie bardziej gwałtowna. Jeżeli kochanek potargi ci w gniewie włosy, każ zapłacić za zgodę prezentami. Kiedy kłęcz u twoich kolan, pisz coś na swoim biurku; jeżeli ogarnie go dżentel, jest twoją zdobyczą. Niech stale widzi na twojej szyi ślady ukaszeń. Nie wzoruj się zwłaszcza na Medei ślepo przywiązanej do swego kochanka; bierz raczej za przykład Thais, która w utworach Menandra oszukuje nawet podstępnych służących.

Nasładowy obyczaje twego kochanka. Dziel z nim pijaństwo; jeżeli śpiewa, dołącz do niego. Niech twój odzwierciadla cię tylko dla rozrzućnych, a będzie głuchy na pukanie tych, co przychodzą bez niczego. Nie odtrącaj, jeżeli przynosi ci złoto, ani nieobitego w miłości żołnierza, ani żeglarsza z szorstkimi rękami, ani niewolnika cudzoziemca, którego się widzi, jak stoi z obwieszaniem o sprzedaży na forum. Nie patrz nigdy na rękę, która daje ci złoto. Zamknij natomiast oczy na wiersze poety, który może ci ofiarować tylko słowa.

Reguły gry

P. E. LAMAIRESSE

(16)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Dopóki kipi krew, dopóki jesteś młoda, korzystaj z pięknych lat, w ciągłej obawie przed jutrem. W Pesto pewnego ranka widziałam różę, która zwiędła nagle, wydzielając jeszcze silny zapach.

I ja też widziałam, jak wydobywała się dusza z Achantis, tej suki, zbyt czynnej na moje nieszczęście, kiedy usiłowałam ukradkiem odsunąć nienawistną zasuwę. Wy, co się kochacie, nie usuwajcie kamienia z jej grobu ani przekleństwa z jej prochów. (...)

KIEDY JEST PORA NA TO BY ODZYSKAĆ KOCHANKA

Kiedy kobieta rozstanie się z kochankiem, którego zrujnowała, może myśleć o odzyskaniu dawnego kochanka, który stał się bogaty lub który nim się stanie.

Watsjajana wskazuje korzyści, które kurtyzana powinna czerpać z tego przy każdej nadarzającej się okazji i które szczegółowo opisuje. Pośród decydujących motywów wymienia chęć zemsty nad rywalką.

Medrzy starożytni radzą kurtyzanie związać się ponownie, jeżeli może, z dawnym kochankiem, ponieważ znany jej jest jego charakter. Watsjajana wyraża opinie, że postąpi lepiej, biorąc nowego, ten bowiem będzie bogatszy i hojniejszy, jako że dawny albo zubożał, albo też doświadczenie nauczyło go, by nie dać się ogoloci. Niemniej ten autor wysuwa to tylko jako zasadę ogólną, od której mogą być liczne wyjątki uzasadnione okolicznościami.

A oto kilka aforyzmów na ten delikatny temat.

„Kurtyzana może okazywać chęć odzyskania dawnego kochanka albo po to, by go poróżnić z kobietą, z którą w danej chwili żyje, albo po to, by wyrzucić określone wrażenie na kochanku, którego obecnie posiada.

Mężczyzna przywiązany do kobiety niepokoi się bardzo o to, by nie przywiązała się do innego, znosi od niej wszystko i obyspuje ją kosztownymi darami.

Jeżeli w tym czasie, kiedy kurtyzana żyje z kochankiem, przybędzie do niej postannik miłości w imieniu innego mężczyzny, powinna albo odebrać go bez wyluchania, albo wyznaczyć gożdzinę wizyty dla tego, który się o nią stara, lecz nie powinna nigdy opuszczać kochanka, który jest do niej przywiązany.

Przeznacza kobieta nie wiąże się ponownie z dawnym kochankiem, chyba, że w tym powrocie widzi szansę znalezienia szczęśliwego losu, zysku, miłości i przyjaźni”. (...)

Tibullus: Ta, która nigdy nie była wierna żadnemu kochankowi, popadnie w nędzę na starość, musi przasać drzącą ręką, barwić i cesać wełnę, by zarobić na życie. Młodzieńcy drwią z jej ubóstwa i mówią, że zasłużyła na swój smutny los.

Owidiusz zaś daje kilka rad, które mogą być uzupełnieniem rozdziału. ARS AMATORIA:

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Nie postępujcie w ten sam sposób, uwodząc dojrzałego mężczyznę i zielonego młodzieńca. Nowicjus — niewinna zdobycz — który dopiero co dostał się w twoją pułapkę, powinien znać tylko ciebie i tylko do ciebie należeć. Jest to roślina, którą należy otoczyć wysokim ogrodzeniem. Strzeż się rywalki i nie bądź pewna zdobyczy, aż będziesz ją miała wyłącznie dla siebie. Zrywaj zwało ten krótkotrwały owoc.

Miłość mężczyzny dojrzałego będzie trwała i wyrozumiała. Zniszcz, nie zrywając więzów, najokrutniejsze rany.

By podniecić kochanka, łącz dowody oddania z krótką odmową. Świeżo zdobyty kochanek niech się najpierw ludzi, że sam dzieli swoje łóżko, ale wkrótce niech się lęka rywalki, uwodząc go za równie szczęśliwego jak on. Czuwanie podstawionego stróża niech zadrśnie jego miłość własną, powinien też obawiać się zazdrości surowego męża. Niebezpieczeństwo dodaje bodźca rozkoszy. I choćbyś była wolniejsza od Thais, udawaj, że umierasz ze strachu. Każ bez potrzeby uchodzić kochankowi przez okno. W trakcie zabawy niech nadbiegnie dobrze wyuczona służąca z krzykiem: „Jesteśmy zgubieni”.

studium wiedzy religijnej, ofiarnikiem, bigotem lub ascetą, któremu grozi niebezpieczeństwo, że umrze z miłości do niej; stawia ona sobie pytanie, czy godząc się na takie postępowanie zyskuje czy też traci zasługę religijną. W takim razie mówi się, że jej wątpliwość jest dwójaka, ponieważ odnosi się zarówno do zysku jak i do zasługi religijnej.

Konkluzja. Kurtyzana powinna rozważyć to wszystko, co jest dla niej z pożytkiem, a co ze stratą, zarówno jeżeli idzie o pieniądze, zasługę religijną jak i przyjemność. (...)

Wątpliwości co do zasięgu religijnych. Jest to coś, co byśmy nazwali skrupułami czy wyrzutami sumienia. W TEOLOGII MORALNEJ ojca Gury występują podobne wątpliwości: Czy kobieta porwana może zabić swego porwawcę? Niektórzy teologowie dają odpowiedź przeczącą utrzymując, że wstydlivość jest mniejszym dobrem niż życie doczesne i wieczne, które by człowiek utracił, gdyby został zabity.

Opinią najbardziej prawdopodobną jest odpowiedź twierdząca w przypadku, kiedy kobieta nie może inaczej przekroczyć pełnienia na niej zbrodni. (...)

ZABEZPIECZENIE BYTU CÓRCY KURTYZANY

Kiedy córka kurtyzany osiągnie wiek dojrzałości płciowej, matka powinna zebrać pewną liczbę młodych ludzi, mniej więcej w tym samym wieku co córka, o podobnym charakterze i wykształceniu i powinna powiadomić o zamiarze wydania jej za mąż na jeden rok za tego, kto ofiaruje jej określone prezenty.

Następnie dla rozbudzenia w nich pożądania stwarza przeszkody, trzyma ich w niepewności, pilnie strzegąc córki, aż pojawi się nabywca spełniający postawione warunki.

Jeżeli najwięcej ofiarujący nie czyni zadość

Skryj wówczas drżącego młodzieńca. Potem pośród uniesień podwój stędcy pieszczoły, żeby nie uważał ich za zbyt drogo kupione. (...)

ZYSKI I STRATY W ŻYCIU KURTYZANY

Niekiedy wysiłki, aby osiągnąć zysk, kończą się zgubą lub stratą, co może nastąpić z braku inteligencji lub rozsądku, przez pychę, nadmiar miłości, zaufanie, upór, porywcość, niedbalstwo, wpływ złych duchów, zwykły przypadek.

Może też być to powodem niepotrzebnych wydatków: utraty zysków osiągniętych lub spodziewanych, zaprzepaszczenia szansy na zdobycie majątku; może być powodem pogorszenia się charakteru, niezdolności do humoru, choroby, wypadnięcia włosów i innych przypadłości.

Występują trzy rodzaje korzyści i trzy rodzaje strat.

Kiedy kurtyzana żyje z wielkim człowiekiem i ma poza obecnym bogactwem widoki na przyszłą fortunę dzięki stosunkom, które nawiązała, mówi się, że osiągnęła zysk połączony z innymi korzyściami.

Kiedy otrzymuje pieniądze nie od kochanka, lecz z zgubą lub stratą, co może nastąpić z braku inteligencji lub rozsądku, przez pychę, nadmiar miłości, zaufanie, upór, porywcość, niedbalstwo, wpływ złych duchów, zwykły przypadek.

Czysty zysk jest wtedy, kiedy powstaje tak bez możliwości dodatkowej korzyści jak i straty.

Kiedy kurtyzana nie otrzymując nic, żyje z wielkim człowiekiem lub skąpym ministrem dla zażegnania jakiegos złu, nazywa się to stratą dla zysku.

Kiedy kurtyzana nie czerpiąc żadnych korzyści, oddaje się skapemu, firecykowi lub uwodzicielowi jest to czysta strata.

Kiedy kochankowie tego rodzaju należą jedno cześnie do grona faworytów króla, są potężni, okrutni i zdolni ją przepędzić przy lada okazji, mówi się, że kurtyzana traci, by nie stracić jeszcze więcej.

Kurtyzana ze stosunków z mężczyznami, którzy jej się podobają, powinna czerpać korzyści i przyjemności zarazem. W pewnych okresach, na przykład w czasie świąt wiosny, jej matka powinna powiadomić różnych mężczyzn, że określonego dnia kurtyzana zostanie z mężczyzną, który spełni takie a takie z jej życzeń; kiedy młodzi ludzie są w niej zakochani, powinna się starać, by ich wyzyskać dla swoich interesów.

Wątpliwości co do zasięgu religijnych powstają wówczas, kiedy kurtyzana waha się z odprawianiem kochanka, którego doprowadziła do ruiny lub nie chce być okrutna wobec mężczyzny, który ją kocha i dla którego odmowa oznacza nieszczęście na tym i na tamtym świecie.

Przyjacieł lub współzuciele pchnęli kurtyzanę do stosunków cielesnych z uczonym braminem,

wymaganiom, kurtyzana w sekrecie uzupełnia sumę, żeby wyglądało, iż narzeczony dał tyle, ile żądała.

Albo też może pozwolić, by córka nieoficjalnie wyszła za mąż sama i jakoby bez jej wiedzy, a następnie może mówić, że dowiedziawszy się po fakcie, nie może się na to nie zgodzić.

Córka powinna także przyciągnąć do siebie synów bogatych rodzin, którzy nie znają jej matki; niech się spotyka z nimi na lekcyjach śpiewu, koncertach i u osób prywatnych; potem niech prosi matkę przez przyjaciółkę lub służącą o zezwolenie na połączenie się z mężczyzną, którego wybrała.

Kiedy w ten sposób córka kurtyzany zostanie powierzona mężczyźnie, pozostanie z nim przez rok, pod koniec którego małżeństwo wygasa i kobieta staje się wolna.

Albo jeżeli później, kiedy już związała się z innym mężczyzną, jej pierwszy mąż od czasu do czasu poprosi, by go odwiedziła, powinna spędzić z nim noc, nie zwracając uwagi na zarobek, który by mogła zdobyć w tym czasie.

To, co wyżej powiedziano, odnosi się również do córek bajader; ich matki powinny wybrać im za pierwszych mężów mężczyzn, którzy mogą być przydatni pod każdym względem.

Kiedy młoda dziewczyna oddana od dziecka na służbę jakiejś rodziny osiągnie wiek dojrzałości płciowej, jej pan powinien trzymać ją w ukryciu, z dala od oczu wszystkich; i kiedy mężczyźni, którzy wcześniej ją znali nie mogą jej zobaczyć, zapłoną pożądaniem, niech się zgodzi na jej małżeństwo z tym spośród nich, który będzie mógł dać jej szczęście i bogactwo. (...)

Panuje zwyczaj na Wschodzie, że kurtyzany oddają, a raczej sprzedają swe córki w czasowe małżeństwo w chwili, kiedy te stają się dojrzałe do zamążpójścia.

Na Wybrzeżu Koromandelskim w miastach angielskich i francuskich żony parasów sprzedają swe córki w wieku dojrzałości płciowej, cena waha się od 50 do 100 franków. Kupujący zatrudnia je tak długo, jak chce. Najczęściej jest to jakiś kapitan odbywający długi rejs, który zatrzymał się na dłużej; niekiedy jest to osiadły w Indiach kawaler. (...)

Od redakcji: Na tym kończymy publikację fragmentów książki o światowej randze pt. „KAMASUTRA i inne REGUŁY MIŁOŚCI” zebrane przez P.E. Lamairessę byłego naczelnego inżyniera w Koloniiach Francuskich w Indiach” (Wyd. KAW, Katowice 1986 r.). W następnym numerze wydrukujemy szkic Zdzisława Wróbla, poświęcony „Kamasutrze”, omieszczony w książce „Erotyzm w literaturze dawnych wieków”.

NASZE XXX lecie

Lata 1964–65 stanowiły okres dalszego rozwoju pisma, zarówno w sensie zwiększania się jego bazy czytelniczej i wzrostu nakładu, jak i systematycznego doskonalenia poziomu zawartych w nim publikacji. Wiązało się to z poszerzeniem kręgu współpracowników oraz wzrostem kwalifikacji i doświadczeń zespołu redakcyjnego „Nadodrza”, który koncentrował swoją uwagę na współczesności regionu w jej różnorodnych przejawach i historycznych uwarunkowaniach.

Szczególną okazję w tym względzie stanowiły rocznice: 1000-lecie Państwa Polskiego i 25-lecie PRL. W piśmie pojawiły się cykle wywiadów z pionierami — organizatorami polskiego życia na Ziemi Lubuskiej w pierwszych powojennych latach oraz stała rubryka pt. „Droga wiodła nad Odrę”, mówiąca o koncepcji i polityce politycznej realizującej powrót Polski na piastowskie rubieże nad Odrą i Nysą. „Lubuski leksykon biograficzny” przypominał w encyklopedycznym skrócie biografie zasłużonych dla regionu Polaków. Wychodząc z założenia, że 1963 rok rozpoczął drugie, tysiąclecie polsko-niemieckiego sąsiedztwa, redakcja zainicjowała druk kolejnego cyklu publicystycznego pt. „W roku tysiąclecia”. W tym roku — z powrotem nad Odrą — Andrzej Józef Kamiński. Był to przykład narastającego zainteresowania pisma i jego czytelników możliwościami prawnego uregulowania stosunków Polski z drugim państwem niemieckim (RFN), ostatecznego potwierdzenia stałości i nieodwracalności polskich granic zachodnich i północnych, co miało nastąpić dopiero w kilka lat później.

W omawianym okresie w „Nadodrzu” publikuje się także inne cykle publicystyczne, poświęcone współczesności regionu, ukazujące ją m.in. na przykładzie małych miasteczek, które w rezultacie aktywizacji społeczno-gospodarczej po 1956 r. znacznie się ożywiły, pełniąc istotne funkcje wobec najbliższej okolicy. To właśnie te małe miasteczka stały się w znacznej mierze oparciem dla działalności LTK, stąd rekrutowały się kadry działaczy Towarzystwa. Postępująca w nich stabilizacja życia społeczno-gospodarczego sprzyjała procesom integracji i stabilizacji życia na szerokim Nadodrzu. Druk cyklu reportaży pt. „Miasteczka nad Odrą” bogato ilustrowanych zdjęciami, trwał cały rok i został zakończony publikacją sumującą i wyprzedzającą zeń określone wnioski.

Wyrazem dokonującego się postępu w tamtych latach, było powołanie do życia 22 lutego 1964 r. Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. „Nadodrzu”, które walczyło o przetrwanie, przyczyniło się do powstania również tego Towarzystwa, relacjonując ten fakt, cytowało słowa ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Zielonej Górze Tadeusza Wierzbickiego: „Niejednokrotnie byliśmy świadkami narodzin na Ziemi Lubuskiej nowych inicjatyw, których realizacja wniosła wiele nowych wartości społecznych. Obecne zebranie założycielskie LTN jest świadectwem jednej z nich, świadectwem dużej żywotności naszej młodej i ambitnej inteligencji, która związała swe losy z naszą ziemią i pragnie jej najlepiej służyć... Wiążemy z powstaniem LTN dwie nadzieje: gdyż umożliwi ono koordynację badań, rozszerzenie ich zakresu przy uwzględnieniu i wysunięciu na czoło, najbardziej istotnych problemów teraźniejszości i przyszłości Ziemi Lubuskiej, stworzy warunki dla wykształcenia i wychowania lubuskiej kadry Naukowej”.

1963 rok był rokiem pomyślnym dla naszego pisma.

Wojewódzka Konferencja PZPR w Zielonej Górze pozytywnie je oceniła, stwierdzając, że przyczyniło się ono nie tylko do ukształtowania środowiska twórczych i kulturalnych, ale poprzez poruszanie na swych łamach problematyki do ożywienia kulturalnego regionu i integracji społecznej jego mieszkańców.

Niestety, częstotliwość ukazywania się pisma (miesięcznik) i jego ograniczona objętość — nie odpowiadały już wtedy istniejącym potrzebom. Konferencja podjęła uchwałę o potrzebie przekształcenia „Nadodrza” w dwutygodnik.

WIESŁAW NODZIŃSKI

List z Warszawy

„Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę; i że będę mówił przez cały czas”.

MAREK HŁASKO

Wybitny pisarz Adolf Rudnicki, autor nie tak dawno wydanego „Kra-kowskiego Przedmieścia...” i laureat do-rocznej nagrody „Literatury”, zasłoko-czył niedługo Marka Hłasko takim oto pytaniem: — „Czy pańscy koledzy mó-wią już, że pan się skończył?”

„Dlaczego?” — zdziwił się adresat. „Bo ja — odparł Rudnicki — kiedy napisałem „Szczury”, moją pierwszą książkę, spotkałem Karola Irzykowskie-go i Irzykowski spytał: — Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skoń-czył?”

Kiedy Rudnicki zadał to pytanie, był rok 1934. Marek Hłasko ukończył wła-snie 20 (!) lat i wydał swoje pierwsze opowiadanie pt. „Baza Sokółowska”. Wszyscy zapewne pamiętają znakomity film Ewy i Czesława Petelskich według tego opowiadania, pt. „Baza ludzi umar-lych”.

Sam Hłasko tak, autoironicznie, ko-mentował swój literacki debiut: „W tym czasie przepisałem książkę Rybakowa pod tytułem „Kierowcy”, podpisa-łem ją swoim nazwiskiem, nazwałem „Bazą Sokółowską” i zaniósłem do Związ-ku Literatów. Po jakimś czasie Ne-werly — będący wówczas opiekunem Kola Młodych — zaważwał mnie na roz-mowę. Nowerly pomógł mi bardzo; py-tał mnie o moje warunki, powiedział

Piękny dwudziestoletni

mi o usterkach „Bazy” i dał mi jedną radę — najnudniejszą radę jaką słyszalem od człowieka piszącego: „Jeśli chce pan coś napisać, niech pan o tym opowiada. Wszystkim (...). I tak zacząłem opowiadać; mówiłem o tym ludziom w Polsce, w Izraelu; mówiłem o tym poważnym Niemcom; i Arturowi Sanda-nerowi, który co chwila mi przerywał, mówiąc: „Do czego pan zmierza?” (...).”

W roku 1938 Marek Hłasko, żegnany przez przyjaciół, zajął miejsce w samo-locie, który po kilku godzinach wyla-dował na paryskim lotnisku „Orly”. Był autorem „Pierwszego kroku w chmu-rach”, oraz dwóch książek niewydanych „Cmentarze” i „Następny do raju”. Był także laureatem poważnej nagrody li-terackiej — Nagrody Wydawców. Miał 24 lata i nie przypuszczał, że wzbijają-cy się w powietrze samolot unosi go na zawsze. Ze wypadku mu wólczerza po świecie i los tułacza. „Gdy — wiecz-ny tułacz”, mówił o sobie przyjaciółm w Tel Avivie.

Piszę te słowa niejako na marginesie najnowszego filmu Andrzeja Titkowa (scen. i reżysera, którego film „Przecho-dzić” poświęcony Tadeuszowi Konwi-ekiemu zapewne pamiętają uczestnicy Lubuskiego-Lata Filmowego sprzed ro-ku) — o Marku Hłasko, zatytułowanego „Piękny dwudziestoletni”. Warto odno-tować, iż obraz ten zaprezentowano na tegorocznym Festiwalu Filmów Krótko-metrażowych w Krakowie, a realizato-ra nagrodzono „Złotą Taśmą”, przyna-

na przez sekcję Czasopiśmiennictwa Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

Andrzej Titkow obmyślił swój film jako pełną impresję, poetycką opowieść o pisarzu. Głównymi bohaterkami fi-lmowych relacji są dwie kobiety. Dodaj-my: kobiety, które go kochały. Z jed-nej strony — matka, z którą pisarza łączyły zawsze niezwykle silne więzy emocjonalne i o której z czułą ironią mawiał, że ponosi całą winę za jego pi-sarstwo, ponieważ od najwcześniejszych lat karmiła go literaturą. Pani Hłasko, żywy świadek losu syna-pisarza, jest w filmie autorką intymnych zwierzeń o dziecięcych fascynacjach i niepokojach czasu dojrzewania autora „Pierwszego kroku w chmurach”; jak również — je-dyną bodaj osobą — znającą rzeczywis-ty stan duszy późniejszego „emigranta”.

Z drugiej strony — oddana przyja-cielka, „szpetna czterdziestolatka” czy II Agnieszka Osiecka. Osiecka przypomi-na ich młodzieńcze wyprawy do Kazi-mierza (miejsce powstania „Cmenta-rzy”), nocne włóczęgi po Warszawie, dyskusje po świt, marzenia i ich ostat-nią rozmowę. Oddaleni od siebie o ty-siące kilometrów, spragnieni kontaktu, jakby kierowani telepatią, sięgnęli w tej samej chwili za słuchawkę telefonu. Tematów i wspomnień było takie mnóstwo, że kiedy zorientowali się jak dłu-go prowadzą niczym nie skrepowani ów dialog, zaczęli kłócić się. Spierali się — jeszcze przez dobrych kilka minut — o to, kto pierwszy zadzwonił i kto po-niesie ekonomiczne tego konsekwencje.

Nie sądzili, że jest to ich ostatnia roz-mowa i ostatnia sprzeczka, że nie spot-kają się już więcej.

W filmie słyszemy głos pisarza za-rejestrowany na taśmie magnetofono-wej, którą Andrzej Titkow wydobyl z radiowych archiwów. Reporterka pol-skiego radia nagrała telefoniczną roz-mowę z Markiem Hłasko, przeprowadzo-na w okresie jego rozpaczliwych sta-rań o powrót do kraju. Pisarz świadom był „rewelacji” zamieszczanych wów-czas w stołecznej prasie na jego temat. Boleśnie to przeżywał i próbował za-przeczyć niesprawiedliwym osądom. A-rcyważna taśma jest jednym z niezap-rzezalnych tego dowodów.

Dla współczesnego pokolenia dwu-dziestoletnich, postać Marka Hłaski jest tylko, czy może aż, legendą. Legendą za-mkniętą we wspomnieniach świadków niedokończonych i niepokładanego lo-su pisarza i człowieka; losu tak bardzo w końcu polskiego. Myślę, że film An-drzeja Titkova stanowi ważny przyczy-nek do zapisu tej legendy. Bo jest ona nam potrzebna.

Dzisiaj jesteśmy świadkami częstych publikacji dotyczących życia i twórczo-sci pisarza. Choć, w istocie jest ich tak wiele? Nakładem wydawnictwa „Czytel-nik” ukazały się prawie wszystkie dzie-la Marka Hłaski. Stąd możemy oglądać jego utwory na deskach scenicznych. Wielkim powodzeniem cieszy się „Na-wrócony w Jaffie” w Warszawskim Tea-trze Powszechnym. Historia pisarza jak i jego książki są znakomitą pre-tekstem dla filmowych opowieści. Coraz więcej pojawia się tych, co odkrywają w sobie potrzebę wspomnień o nim. Wszystko to dobrze. Tylko, jak długo jeszcze będziemy musieli zadawać so-bie pytanie: dlaczego tak późno? Nie tylko w przypadku Marka Hłaski.

DZAMILA ANKIEWICZ

List z Cottbus

W Hali Miejskiej w Cottbus w minio-nych tygodniach uwagę zwiedzających przyciągała szczególnego rodzaju wy-stawa. Rada Miejska Cottbus zorganiz-o-wała tę wystawę z okazji obchodzące-go w tym mieście XI Kongresu „Domowiny”, organizacji skupiającej obywateli NRD narodowości serbo-lużyckiej. Na przykładzie licznych eksponatów, fak-tów i liczb, zgromadzonych na wysta-wie pokazano jak w wojewódzkim mie-scie Cottbus realizowana była i jest polityka narodowościowa.

Ekspozycję otwierał krótki historycz-ny rys miasta — od słowiańskiej serbo-lużyckiej osady do nowoczesnego Cott-bus, w którym mieszka ponad 120 tys. niemieckich i serbo-lużyckich oby-wateli. Wystawa w sposób wyrazisty in-formowała, jak w socjalistycznym mie-scie obywatele narodowości serbo-lużyckiej współdecydują i współdziałają na równych prawach we wszystkich dziedzina-ch życia, jak kontynuują i rozwija-ją swoje tradycje kulturowe, język i sztukę, znajdując we wszystkich swo-ich poczynaniach poparcie partii klasy robotniczej i socjalistycznego państwa.

Cottbus dzisiaj nie jest już tylko cen-trum węgla i energii, ale także waż-nym centrum aktywnej i z powodzeniem realizowanej w NRD polityki narodo-wościowej. Nie da się zaprzeczyć, że przez to miasto stało się piękniejsze, a jego życie bogatsze. Kiedy nie tak daw-no między Cottbus a Saarbrücken w RFN podpisano porozumienie o partner-skiej współpracy, problematyka polityki narodowościowej stanowiła niebaga-telny element tego porozumienia.

Pozwólm jednak przemówić liczbom i faktom z wystawy. Do Rady Miejskiej w czasie ostatnich wyborów

Miasto dwu kultur

wybrano 10 radnych narodowości ser-bo-lużyckiej, z tego 3 piastuje bardzo ważne w radzie funkcje: pierwszego za-stepey prezydenta miasta, sekretarza rady i kierownika wydziału kultury. Istotny jest także fakt, że przy Radzie Miejskiej działa zespół radnych do spraw serbo-lużyckich, z którym współ-pracuje 15 obywateli serbo-lużyckiego pochodzenia, pracujących zawodowo na odpowiedzialnych stanowiskach, aktyw-nych członków „Domowiny”. Praca zes-półu koncentruje się wokół polityki na rodowościowej; tu podejmuje się inicja-tywy i przygotowuje propozycje doty-czące realizacji całokształtu życia ser-bo-lużyckiego obywateli miasta i regio-nu. Zgodnie z uchwałami XI Kongresu „Domowiny”, zespół aktualnie pracuje nad koncepcją realizacji praw i po-trzeb serbo-lużyckich obywateli do ro-ku 1990. W ramach tej koncepcji mie-sci się także idea otwarcia specjalist-ycznego sklepu z wyrobami sztuki dzie-dziny oraz organizacja muzeum historii i piśmiennictwa serbo-lużyczan.

Szczególnie dumni są obywatele na-szego miasta z powstaniem w centrum Cottbus zrekonstruowanej dzielnicy „wendyjskiej”. Między tzw. Ulicą Wen-dyjską, wendyjskim kościołem i pla-cem, na którym wielu serbo-lużyczan z podmiejskich wsi sprzedaje warzywa i kwiaty, powstał w roku 1984 kompleks mieszkaniowy, jedyny w swoim cha-rakterze, w którego architekturze wy-korzystano motywy serbo-lużyckiej sztuki ludowej, ludowej architektury, zdo-bnictwa itp. W tym kompleksie miesz-kaniowym wiele serbo-lużyckich rodzin otrzymało mieszkania.

Oblicze „serbo-lużyckie” miasta prze-jawia się także w innych dziedzinach społecznego życia. Obok funkcjonują-

cych w mieście profesjonalnych serbo-lużyckich instytucji, takich jak: pismo NOWY CASNIK, redakcja serbo-lużyckiej rozgłośni radiowej w Cottbus, liceum ogólnokształcące i Zarząd Powia-towy DOMOWINY, wiele innych pla-cówek kulturalnych w mieście pielegnuje kulturę i język serbo-lużyczan. Wyróżniają się tutaj szczególnie księ-garnia „Jenny Marx” i muzeum okrę-gowe. We wspomnianej księgarni regu-larnie odbywają się spotkania autorsk-e z pisarzami piszącymi w języku serbo-lużyckim, organizuje się wysta-



Fot. JÜRGEN KAFFKA

VIDEO klub

POLICJANCI I INNI

To już piąty odcinek video klubu i przyznam się, że nie jestem pewien, czy taka właśnie formuła filmowego kąci-ka satysfakcjonuje czytelników. A tej pewności nie staję, gdyż brak reakcji ze strony ewentualnych zainteresowa-nych. Już sama nazwa rubryki — vi-deo klub — zakłada zainteresowanie nią, poprzez aktywne uczestnictwo, naj-mniej kilku osób. Oczywiście możemy kontynuować opis dwóch, trzech filmów video w numerze, ale wówczas klub może liczyć jedynie na anonimowych kibiców, a nie autentycznych uczest-ników. Ze zjawiskiem video wiąże się wiele problemów, w tym także natury prawnej. Jest to jednak także wielka szansa dla ośrodków wiejskich i ma-lo-miasteczkowych na wzbogacenie oferty kulturalno-oświatowej. Oczekujemy na różne sygnały czytelników. Postaramy

się w miarę naszych możliwości, pomóc w kłopotach — z przyjemnością opu-blikujemy listy mówiące o sukcesach. Czekamy na listy!

A na razie o dwu głośnych już fi-lmach.

AKADEMIA POLICYJNA

Film zyskał sobie wielu zwolenników na całym świecie. Miarą jego popular-ności niech będzie to, że powstały już dalsze części „Akademii”. Obraz zajmuje czołowe pozycje na listach video-hi-tów. Takie listy istnieją m.in. w USA, Francji i Wielkiej Brytanii.

„Akademia policyjna” należy do ro-dzaju komedii, jaki powstał i rozwijał się w Wielkiej Brytanii i USA, tzw. zwariowanej komedii, w której do roz-śmieszenia widza wykorzystuje się na-liek nieprawdopodobnych sytuacji. Oto renomowana szkoła dla policjantów ogłasza nabór kandydatów, może nie ma w tym fakcie jeszcze nic niezwykle-go, ale jeśli do takiej szkoły przyjmuje się każdego, bez względu na kwalifi-kacje umysłowe, wygląd fizyczny i przeszłość, to musi powstać niezły ba-lagan. Do szkoły przybywa grubasek uciekający przed zaborczą mamusią, zwariowany wieźbiel milicyjnych uten-syliów, Murzyn — ołbrzym, ludzie ucie-kający przed sprawiedliwością i w ogó-

le cała plejada barwnych typów. To, że każdy ze studentów posiada jakieś odchylenie od normy, choć i wyklado-wo niczego nie brakuje, powoduje lawinę sytuacji wywołujących u widza łyzy śmiechu. Mnie najbardziej roźmie-szał David Graf jako zakochany w broni i strzelaniu Tackleberry. Kilka scen w tym filmie jest na granicy prze-szarżowania, ale reżyser Jerry Paris potrafił w odpowiednim momencie przytrzymać wodze. Film tylko dla lu-dzi z poczuciem humoru.

PIERWSZA KREW II

Ten film wywołał burzę protestów na Wschodzie i na Zachodzie, ale ma też swoich zagorzałych zwolenników, wśród których znajduje się obecny pre-zydent USA. Już ten fakt świadczy, że cała rzecz sięga poza granice rozrywki i sztuki filmowej. Zapewne niekto-ry czytelnicy domyślają się już o jak-im filmie mowa. W czołowej obrazu występuje tytuł „Pierwsza krew II”, ale znany jest bardziej jako „Rambo II”, czyli: produkcja made in Sylvester Stal-one. W pierwszej części Rambo spalił pół amerykańskiego miasteczka i zabił około setki osób, a wszystkich dlatego, że miejscowy szeryf nie pozwolił mu zjeść hamburgera. Rambo posiada nad-przyrodzone umiejętności, które nabył służąc w jednostkach specjalnych w Wietnamie. W drugiej części filmu gru-

pa wojskowych i polityków postanawia wykorzystać jego umiejętności. Rambo otrzymuje zadanie odnalezienia amery-kańskich jeńców w Wietnamie. Z no-zem, specjalnie skonstruowanym lu-kiem i zimnym błyskiem w oku ładuje w wietnamskiej dżungli, tam dość szyb-ko odnajduje oboz z amerykańskimi ko-legami i okrutnymi Wietnamskimi. Ale jak się okazuje Rambo nie miał udowodnić, że jeńcy istnieją, ale coś przeciwnego. Od tego momentu Rambo ma przeciwko sobie Wietnamskich, Rosjan i swoich morderców. Według rozumowania przedstawionego w fi-lmie za klęskę USA w Wietnamie od-powiada grupa „zachowawczych” poli-tyków amerykańskich, którzy knuli in-trygę przeciwko „wietnamskiej krucja-dzie”. Rambo poradził sobie ze wszyst-kiemi przeciwnościami: zabija ok. tysią-cia Wietnamskich i Rosjan, porwya radziecki śmigłowiec i wraz z uwalnio-nymi jeńcami ładuje triumfalnie w amerykańskiej bazie. Dowódcemu kłeczą z bazy, który chciał wykiwać amerykańskich chłopców, grozi tylko nożem wielkości tasaka. To, że pozos-tał jeszcze ktoś do zabicia, można trak-tować jako znpowiedź „Rambo III”. Film dla ludzi o wyjątkowym poczuciu humoru.

FAN

Klub Prasy i Książki w Grodziszczu koło Świebodzina funkcjonuje od 1972 roku, a gospodni klubu Zofia Bohonos pracuje w nim już 14 lat. Prawda, że była w tym czasie dwuletnia przerwa, kiedy to korzystała z urlopu wychowawczego, ale po skończonym urlopie powróciła z nowym zapasem sił. Klub ma bardzo ładny, dwuizbowy, z wydzieloną częścią handlową, co znakomicie ułatwia prowadzenie działalności kulturalno-oświatowej. Jest też duża, ładnie utrzymana sala widowiskowa, w której często odbywają się większe imprezy artystyczne i dyskoteki.

Wypożyczenie w sprzęt audiowizualny jest bardzo dobre. Niejedną wiejską placówkę mogłaby im pozazdrościć posiadanie aparatury: kamery filmowej, projektora do wyświetlania filmów, rzutnika. I co najistotniejsze, urządzenia te nie są tylko ozdobą klubu, lecz są wykorzystywane przez grupę filmowców — amatorów.

Klub należy do ładniej utrzymanych pod względem estetycznym. Na regałach sporo pucharów i dyplomów zdobytych przez piłkarzy koła sportowego LZS oraz jeden, zdobyty przez sekcję tenisa stołowego. Szkoda tylko, że meble kawiarniane są trochę sfałgowane, natomiast urządzenia handlowe są ciasne, żeby pomieścić dość dużą ilość artykułów.

kułów, w które zaopatrzona jest placówka.

Miarą prawidłowego funkcjonowania każdego klubu jest jego aktywna działalność kulturalno-oświatowa. W Grodziszczu taka autentyczna działalność istnieje. Przede wszystkim jest tam amatorski teatrzyk dziecięcy „Iskierka”, do którego należy ośmiórka dzieci. Są to: Renata Blicharz, Katarzyna Bloch, Alicja Sliwińska, Anna Kujawa, Joanna Niecka, Artur Górkowski, Agata Ratalik i Agnieszka Leśniewska. Teatrzyk, prowadzony przez animatorkę kultury Elżbietę Gawron, ma już na swoim koncie pewne osiągnięcia. Zespół został do brze przyjęty na przegląd rejonowy w Sulechowie.

Są oczywiście jeszcze inne formy działalności kulturalno-oświatowej, które cieszą się w tym środowisku znaczną popularnością. Dobrze pracują sekcje: pingpongowa, szachowa, gier i zabaw dziecięcych oraz sekcja plastyczna, którą prowadzi Stanisław Łopuszański — plaśtyk ze Świebodzińskiego Domu Kultury.

Członkowie sekcji plastycznej zdobyli liczne nagrody i wyróżnienia. Agnieszka Leśniewska w 1986 roku została na grodziszczu za swoją pracę plastyczną w ogólnopolskim konkursie pod nazwą „Gdybym był pisarzem i malarzem”, a

Ewa Sokołowska otrzymała wyróżnienie. Zaś w roku bieżącym, w konkursie pod nazwą „Przyjaźń, Współpraca i Braćterstwo”, organizowanym przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, Joanna Niecka otrzymała trzecią nagrodę za swoją pracę plastyczną, poświęconą na przyjaźni i współpracy ze Związkiem Radzieckim.

W Grodziszczu działa także koło Związku Młodzieży Wiejskiej, które ściśle współpracuje ze społeczną radą klubu. Przewodniczącą koła ZMW jest Katarzyna Stepien, a społeczną radą kieruje Dariusz Wójcik. Współpracą tych organizacji jest ściśle i bardzo pożyteczna, jak twierdzi gospodynin. Uważa też ona, że ma bardzo dobrą młodzież w Grodziszczu, bo nie tylko lubią dyskoteki odbywające się w każdą sobotę ale zarazem dbają o klub i salę, którą się sami opiekują i sprzątają po każdej zabawie.

W długie jesienno-zimowe wieczory, w każdy wtorek odbywają się prelekcje i odczyty organizowane przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Funkcjonuje tam stały punkt odczytowy zwany po polsku uniwersyteciem powszechnym TWP. Jest też punkt biblioteczny, posiadający 144 stałych czytelników.

ZENON CZARNECKI

Konkursy

...na reportaż

Zarząd Oddziału SD PRL, Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy oraz redakcja „Nadodrza” w Zielonej Górze ogłaszają konkurs na reportaż pod hasłem „Środki Nadodrza '87”. Organizatorom konkursu szczególnie zależy na pozyskaniu tekstów o procesach aktualnie dokonujących się w województwach gorzowskim i zielonogórskim. Jury powołane przez organizatorów przyzna następujące nagrody:

I — 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł oraz trzy wyróżnienia po 7.500 złotych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace na konkurs w objętości do 10 stron redakcyjnego maszynopisu (60 znaków w wierszu, 30 wierszy na stronie) w trzech egzemplarzach opatrzonech godłem (w zaklejonej kopercie nazwisko i adres autora) należy przesłać do redakcji „Nadodrza” w nieprzekraczalnym terminie do dnia 31 sierpnia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego). Prace o większej objętości nie będą rozpatrywane przez jury. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi pod koniec września br.

...na opowiadanie

Oddział Związku Literatów Polskich, Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy oraz redakcja „Nadodrza” w Zielonej Górze ogłaszają konkurs na opowiadanie o tematyce współczesnej. W konkursie mogą brać udział zarówno członkowie ZLP jak i nieczłonkowie. Organizatorzy oczekują przede wszystkim tekstów

o objętości nie przekraczającej 8 stron maszynopisu, poświęconych problematyce społeczno-obyczajowej i sensacyjnej itp.

Jury powołane przez organizatorów przyzna następujące nagrody:

I — 20.000 zł, II — 15.000 zł, III — 10.000 zł oraz trzy wyróżnienia po 7.500 złotych.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace na konkurs (w trzech egzemplarzach) opatrzonech godłem (w zaklejonej kopercie nazwisko i adres autora) należy przesłać do redakcji w nieprzekraczalnym terminie do dnia 1 października 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi pod koniec października 1987 r.

...na utwór poetycki

Oddział Związku Literatów Polskich, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Lubuskie Towarzystwo Kultury i redakcja „Nadodrza” w Zielonej Górze ogłaszają otwarty konkurs poetycki. Wiersze oraz zestaw — o tematyce współczesnej — należy nadsyłać w trzech egzemplarzach, opatrzonech godłem, z zaklejoną kopertą zawierającą nazwisko i adres autora) do 1 października br. do redakcji „Nadodrza” 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa 40. (Decyduje data stempla pocztowego). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi pod koniec października 1987 r.

Jury, powołane przez organizatorów, przyzna następujące nagrody.

I — 10.000 zł, II — 7.000 zł, III — 5.000 zł, oraz trzy wyróżnienia po 3.000 zł każde.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych utworów w „Nadodrzu”. Opublikowane

teksty będą oddzielnie honorowane wg obowiązujących stawek.

...na wiersz

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji '87”: Oddział Warszawski Związku Literatów Polskich, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy i Staremiński Dom Kultury ogłaszają konkurs dla autorów nieprofesjonalnych.

Jeden niepublikowany dotychczas wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzonego godłem wraz z dołączoną do niego zapieczętowaną i oznaczoną tym samym godłem kopertą zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres zamieszkania autora oraz powtórzenie wybranego godła należy nadsyłać na adres:

Biurow Organizacyjne
Warszawskiej Jesieni Poezji
Rynek Starego Miasta 2
00-272 Warszawa
z dopiskiem na kopercie „Konkurs Jednego Wiersza”.

Prace należy nadsyłać do 31 sierpnia 1987 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody: — główną w wysokości 15.000 zł; — sześć wyróżnień po 7.500 zł; — nagrodę specjalną za wiersz o Warszawie w wysokości 10.000 zł. Jury konkursu ma prawo inaczej podzielić nagrody oraz przyznać wyróżnienia honorowe.

Nadesłane wiersze nie będą zwracane.

Rozwiązanie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi podczas „Warszawskiej Jesieni Poezji '87” w Domu Literatury w Warszawie ul. Krakowskie Przedmieście 87/89 w dniu 24 listopada 1987 r. o godz. 20.

Reggae nad Wartą

Przed kilkunastoma dniami zakończyło się drugie spotkanie „Reggae nad Wartą” organizowane przez Wielkopolski Ośrodek Kultury i instytucje kulturalne Gorzowa. Muzyka reggae, wywodząca się z krajów kolonialnych, ma w Polsce dość liczną rzeszę zwolenników. Do Gorzowa przybyło ich kilka tysięcy. Przyjechały też wszystkie liczące się zespoły uprawiające muzykę reggae, wśród nich „Daab Muzyka Serc”, „Kryterium”, „The Rangers”, „Grass”, „Izrael Kultury”. Ziemię Lubuską reprezentowali muzycy z Choszczyna tworzący zespół „Raj Bess”. W przeciwieństwie do wielu innych spotkań muzycznych, „Reggae nad Wartą” przebiegało spokojnie i ku zadowoleniu gorzowian. Wygląda na to, że impreza ta zostanie na stałe wpisana do kalendarza gorzowskich wydarzeń kulturalnych.

Verda Monto '87

W roku bieżącym mija 100 lat od chwili, kiedy jedną z warszawskich drukarni opuściła książka pt. „Język międzynarodowy”. Stanowiła ona podręcznik nowego języka oraz jego słownik, a napisana była przez autora ukrywającego się pod pseudonimem „Dr Esperanto”. Jej twórcą był białostocki lekarz i poliglota Ludwik Zamenhof. Był to początek kariery międzynarodowego, sztucznego języka, od pseudonimu autorskiego nazwanego esperanto. Język ten jest oparty na słownictwie romańskim, germańskim, słowiańskim i innym. Dzięki prostocie gramatyki oraz sprawności komunikacyjnej esperanto szybko znalazło wielu zwolenników. Międzynarodowy ruch esperanki oprócz propagowania „esperanto” zajmuje się szeroko działalnością kulturalną. W lipcu br. odbywał się w Warszawie 72 Światowy Kongres Esperantystów.

Również w lipcu Zielona Góra podejmowała aktorów używających języka esperanto. Na V Międzynarodowy Festiwal Teatrów Esperanto „Verda Monto '87” przybyły zespoły z Francji, Jugosławii, NRD, Szwecji i Polski. Organizatorem imprezy byli zielonogórcy członkowie Polskiego Związku Esperantystów.

40 lat orkiestry „Zastalu”

Spośród wielu orkiestr dętych Zielonej Góry do najbardziej znanych i lubianych należy orkiestra Zaodrzańskich Zakładów Przemysłu Metalowego „Zastal”. Pierwszy koncert 18-osobowej orkiestry „Wagmo” (dawną nazwą „Zastal”) odbył się 22 lipca 1947 r. Od 1955 r. nieprzerwanie orkiestrę prowadzi kapelmistrz Franciszek Rzeźniczak, emerytowany „zastalowiec”. W ciągu 40 lat swojej działalności orkiestra grała na 454 pochodach, 322 zabawach tanecznych, uczestniczyła w 342 akademiach i 689 pogrzebach. „Zastalowcy” koncertowali w wielu miastach Polski, a także poza granicami naszego kraju. Zdobywali główne nagrody i wyróżnienia w festiwalach i przeglądach orkiestr dętych.

Jubileusz P. Wiktorskiego

Paweł Wiktorski należy do tych literatów, którzy pisaniem zajęli się dopiero po przejściu na emeryturę. Urodzony w Warszawie, patent oficerski otrzymał w 1937 r., a w marcu 1939 r. ochotniczo zgłosił się do służby czynnej w 26 pułku artylerii lekkiej im. Króla Władysława IV w Skierniewicach. Uczestniczył w walkach z Niemcami. Jako jeńiec wojenny przebywał w obozach w Hadamarze i Murnau. Po wyzwoleniu uzyskał



tytuł doktora nauk weterynaryjnych na Uniwersytecie w Bolonii (Włochy). Aż do przejścia na emeryturę w roku 1975 pracował jako lekarz weterynarii, m.in. w Zielonej Górze i Zaganiu. Debiutował książką „Czas biegnie obok” (1980). Potem napisał: „A po wojnie, po skończeniu” (1981), „Lot nad kołyską” (1984) i „Na koniec wieszło słońce” (1985). W druku znajduje się następna książka P. Wiktorskiego. Za pracę literacką otrzymał Lubuską Nagrodę Kulturalną (1984) i Nagrodę im. Aleksandra Kowalskiego-Olka (1985).

Laureaci

Zespół folklorystyczny „Wesele przystojskie” z Przystojskiej, gmina Zbąszyń, obchodzący 50 lat swojej działalności, otrzymał nagrodę II stopnia ministra kultury i sztuki.

Trzecią nagrodę w konkursie na wspomnienia z działalności w Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego, organizowanym przez Radę Krajową PRON i redakcję tygodnika „Odrodzenie”, otrzymał Józef Cabaj z Drezdenka.

Również trzecią nagrodę za reportaż ale w konkursie organizowanym przez redakcję „Gazety Krakowskiej” otrzymała Dorota Frątczak z redakcji „Ziemi Gorzowskiej”.

Wśród laureatów konkursu na reportaż „Portrety bez retuszu”, zorganizowanego przez redakcję „Tygodnika Kulturalnego” znalazł się Alfred Siatecki z „Nadodrza”.

Zdzisław Kurzeja — wojewódzki konserwator zabytków, został wyróżniony nagrodą wojewódzką Prezydium WRN w Legnicy.

Gorzowski Teatr im. Juliusza Osterwy otrzymał za udział w spotkaniach w Gorzowie nagrodę „Zaczarowanej zielonej żabki” za spektakl „Słowicza wyspa”. Gratulujemy.

Zaprosili nas:

Prezidium Rady Wojewódzkiej Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze na uroczystą sesję z okazji Święta Odrodzenia Polski, Wojewoda Zielonogórski na uroczystość wręczenia Lubuskich Nagród Kulturalnych i Naukowych za rok 1987, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie na wręczenie Nagrody Gorzowskiej, Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze na premierę „Teatru cudów” Cervantesa, Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu na wystawę „Esperanto zbliża narody” i plakatu esperanckiego.

Nowak bierze wypłatę

Dokończenie ze str. 5

W modzie są różne listy rankingowe, najlepszych przedsiębiorstw, najbardziej zadymionych województw itp. Proponuję swoją listę, którą nazwałbym „Listą opłacalności zawodowej”. W jej

układaniu wziąłem pod uwagę wysokość płacy w powiązaniu z odpowiedzialnością i obowiązujący czas nauki zawodu. Lista układa się od najwyższego stopnia opłacalności do najniższego, nie jest pełna, a jedynie ograniczona początkiem i końcem. Można ją po kazać Jasłowi, który stoi przed wyborem zawodu.

- palacz i sprzątacza (ex equo)
- stróż
- portier
- kierowca

- kierowca autobusu
- murarz
- spawacz
- inżynier informatyk
- nauczyciel
- lekarz

być?

PIOTR PIOTROWSKI

P.S.

Dziennikarze zarabiają mniej od palaczy, ale za to więcej od sprzątaczek.



POZNAN 87

Przed 68 laty w Warszawie odbyła się I Polska Wystawa Marek. W okresie międzywojennym było ogółem 5 ogólnopolskich wystaw filatelistycznych. Pierwsza po wojnie a kolejna VI Ogólnopolska Wystawa Filatelistyczna zorganizowana została w 1955 r. w Poznaniu. Ponownie w 1987 r. Poznań jest organizatorem XV Ogólnopolskiej Wystawy Filatelistycznej. Około 550 eksponatów, w tym 10 filumenistycznych i 50 pozycji literatury zostanie zaprezentowanych w pawilonie nr 5 Międzynarodowych Targów Poznańskich. Będą one wystawione w 4 klasach, w tym również w klasie młodzieżowej. Na wystawie został zgromadzony współczesny dorobek polskiego ruchu wystawienniczego. Sąd konkursowy składać się będzie z 55 sędziów i aspirantów będzie miał trudne zadania w ustaleniu i zakwalifikowaniu poszczególnych eksponatów do nagród regulaminowych: wielkiej nagrody honorowej (grand prix), nagród honorowych za najlepsze eksponaty w poszczególnych klasach.

Wystawa otrzymała skromną oprawę filatelistyczną. Ministerstwo Łączności

wprowadziło do obiegu znaczek pocztowy o nominalnej 15 zł przedstawiający rysunek Stanisława Wyspiańskiego „Stary rynek w Poznaniu”. Kopertę i stempeł pierwszego dnia obiegu z herbem Poznania. Ponadto będą stosowane na terenie wystawy kasowniki okolicznościowe: znak wystawy, koźloróg dębosz (Cerambyx cerdo) portret zmarłego dnia



łącza poznańskiego ruchu filatelistycznego Bernarda Stepczyńskiego, a także po pagandowy wirnik. Wydrukowane też pamiątkowe koperty. Medal wystawy przedstawia widok ratusza z fragmen-

tem znaczka wydanego w 1945 r. z okazji I Kongresu Pracowników Poczty i Telekomunikacji w Poznaniu.

Bogaty jest natomiast program imprez towarzyszących. Obok tradycyjnych posiedzeń Prezydium Zarządu Głównego PZF, odbędą się także dwudniowe plenum ZG, liczne spotkania w tym z Czesławem Ślanią, wybitnym rytmistą i znaczkowcem pocztowym krajów skandynawskich. Miejsce w tym Kamilę Kim, Janem Rybickim, Ireną Zielińską — naczelnikiem Wydziału Emisji ML, Fabianem Burą, Jerzym B. Klimą — redaktorem naczelnym „Filatelisty”, a także z Janem Witkowskim, nestorem polskiej filatelistyki, którego wspomnienie „Od jedyńki do niestanki” niewątpliwie zainteresują wielu zbieraczy. Odbędzie się także sympozjum teoretyczno-praktyczne, również posiedzenia niektórych specjalistycznych komisji Zarządu Głównego PZF. Liczne kluby zainteresowań zapowiadają swoje obrady w czasie trwania wystawy.

Poznań w sierpniu (od 8 do 16) stanie się również największym salonek wystawienniczym polskiej filatelistyki, jak i akademii filatelistycznych umiejętności, tu bowiem dokonany zostanie przegląd dorobku myśli twórczej polskich zbieraczy.

W. SŁAWOMIR



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 705-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 (łączy telefon wewnętrzny) Telex 0432258. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masio-

wska (statystyka), Zenon Łukasiewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki, Korkuta, Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, Sekretariat redakcji, Elżbieta Waleńska, Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 23 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 57. Dyrektor Zbiżniew Piekiewicz tel. 717-85. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treścią ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 761

B-20



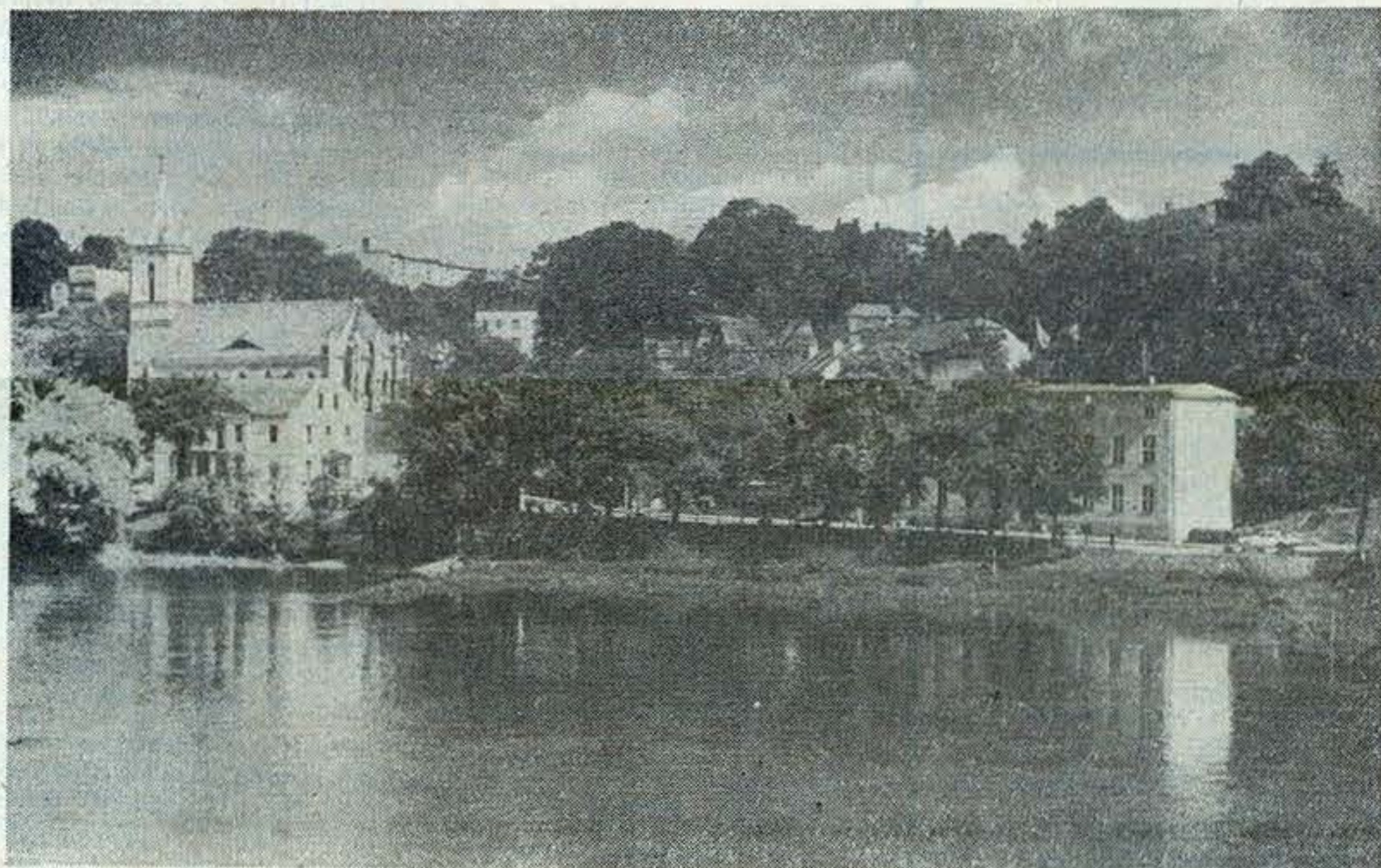
ODRA — RZEKA POLSKIEGO LOSU

Wakacyjny konkurs „Nadodrza”
oraz Lubuskiego Komitetu

Upowszechniania Prasy w Zielonej Górze

Idea naszego konkursu jest spopularyzowanie wiedzy o drugiej, największej po Wiśle, rzece w Polsce — Odrze, która trwale spłótła się z naszymi dziejami i współczesnością.

Do wygrania m.in.: turystyczny telewizor, radio z budzikiem, namiot 3-osobowy, materace turystyczne, odkurzacz, młyn do kawy, książki. Życzymy powodzenia!



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

REGULAMIN

Konkurs składa się z czterech zestawów. Każdy zestaw zawiera cztery pytania. Pierwsze dwa zestawy opublikujemy w nr 14 i 15. Ostatni, czwarty zestaw pytań wraz z kuponem opublikujemy w następnym numerze.

Odpowiedzi na pytania konkursowe prosimy wpisywać wyłącznie na załączonym poniżej kuponie. Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy prawidłowo odpowiedzieć na pytania zawarte w jednym zestawie. Oczywiście prawidłowe odpowiedzi na pytania we wszystkich zestawach, zwiększają szansę w losowaniu nagród.

Wypełnione kupony w zaklejonych kopertach prosimy nadsyłać na adres: Redakcja „Nadodrza” 65-958 Zielona Góra, skr. poczt. nr 40 z dopiskiem „Konkurs wakacyjny” w terminie do 15 września 1987 r. Decyduje data stempla pocztowego. Czytelnicy, którzy nie zechcą czekać na zakończenie całego konkursu, mogą zaraz przesyłać wypełnione kupony.

Losowanie nagród odbędzie się w drugiej połowie września br. a jego wyniki opublikujemy w nr 20 (651) „Nadodrza”.

KUPON NR 3

1. _____
2. _____
3. _____
4. _____
imię i nazwisko _____
dokładny adres _____

1. Nad Odrą stoczono wiele bitew w obronie zachodniej granicy państwa polskiego. „Wtedy cesarz, sądząc, że umysły mieszczan może się dać ugiąć z litości dla synów i przyjaciół — napisał Gall Anonim — polecił znacznym pochodem spośród zakładników miasta oraz syna komeśa grodowego... przywieźć do machin oblężniczych, sądząc, że tak, bez krwi rozlewu zmusi do otwarcia bram miasta”.

O jakie miasto nad Odrą i w którym roku stoczono tę bitwę?

2. Pierwszą prezentacją odbudowy zniszczonych w czasie wojny terenów Nadodrza była zorganizowana we Wrocławiu Wystawa Ziemi Odzyskanych.

W którym roku zorganizowano tę Wystawę?

3. Powojennej odbudowie towarzyszyła integracja gospodarcza i społeczna Nadodrza z resztą kraju. Powstały tu nowe okręgi przemysłowe.

Wymień jeden z nich.

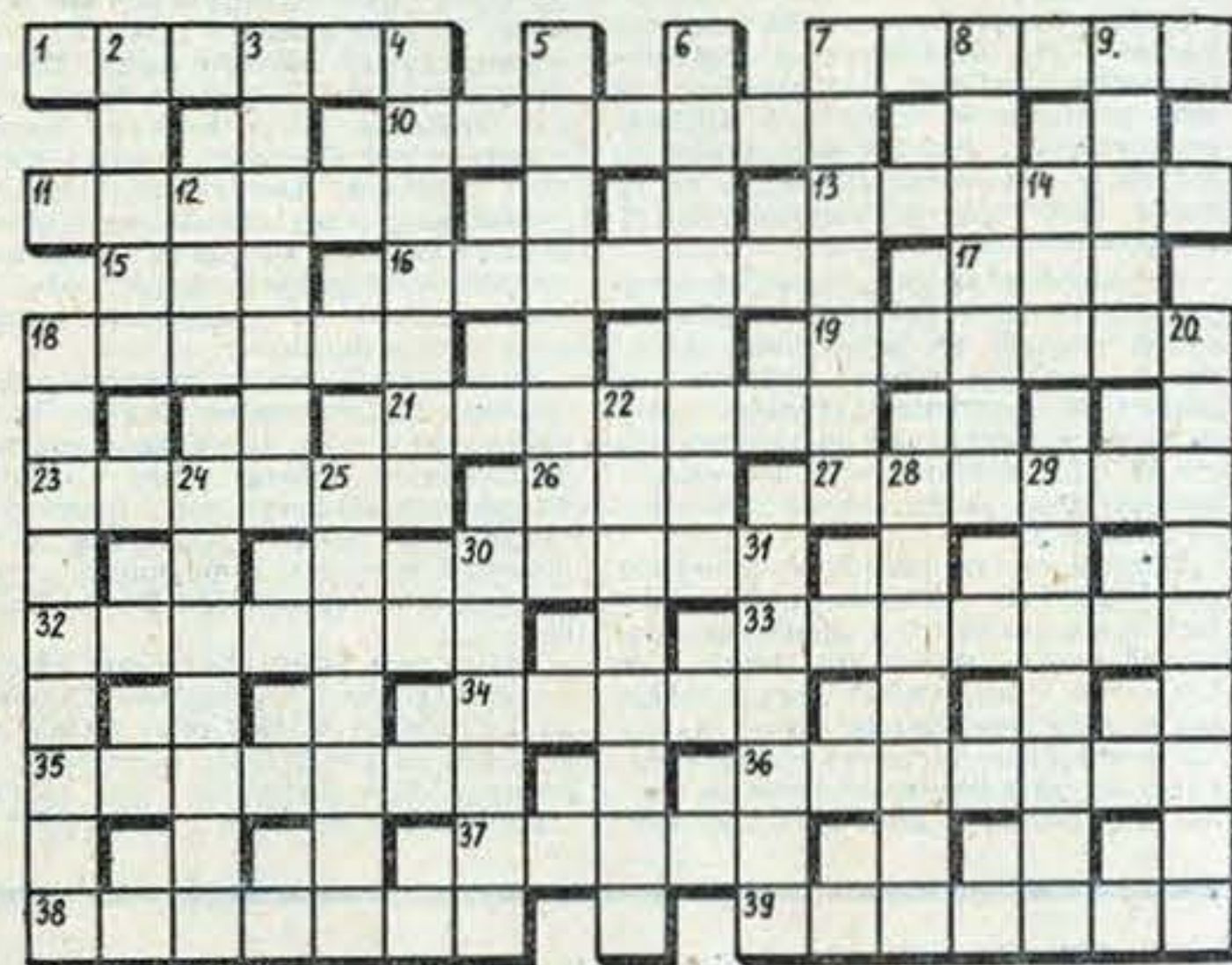
4. Jedną z najbardziej zniszczonych w czasie wojny miejscowości nad Odrą było miasto leżące obecnie w woj. gorzowskim.

Podaj nazwę tego miasta. Z czego jest ono znane?

nadodrza

Rozrywki umysłowe

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA

(Oprac.: „SLAWICZ”)

POZIOMO: 1. Rzeźbiarz grecki (IV w. p.n.e.), twórca stylu patetycznego w rzeźbie, 7. Mętna, 10. Mechaniczny instrument muzyczny, 11. Bez kołnierza i rękawów, 13. Odnowienie, 15. Kucharz na krążowniku, 16. Kontynentalna część Gwinei Równikowej, 17. Tokio przed 1868 r., 18. Uczniowska bumelka, 19. Jest w kościele, 21. Maszyna rolnicza, 23. Czekaj jak kania na..., 26. Rozpuszczalnik tłuszczów, 27. Pseudonim z liter nazwiska czytanych wspakowo, 30. Krawędź, 32. Kokota, 33. Świętuje 4 września, 34. Darowanie winy, 35. Naczynie z palącym się wewnątrz ogniem, 36. Choroba zakaźna psów i kotów, 37. Bogini mądrości, 38. Koźła skóra do oprawiania ksiąg, 39. Numerowy na dworcu.

PIONOWO: 2. Wodzi kureczka, 3. Pieczęć, 4. Pasożyt kłosa żyta, 5. Gdy idzie do góry, będzie wyż, 6. W tytule westernu F. Zinnemanna, 7. Rodzaj samby, 8. Gra z lotką, 9. Głos E. Caruso, 12. Mierzy prędkość statku, 14. Druga żona Mieszka I, 18. Zbiór wiadomości i wskazówek z jakiejś dziedziny, 20. Z młotem na ulicy, 22. Miesiąc 24. Stanowisko w kopalni, 25. Opiekował się piwnicą królowa, 28. Faszysta, 29. Wyciąg alkoholowy, 30. Góry w Bułgarii, 31. Owoc południowy.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 14

Poziomo: wrzut, Ignacy, Aleksy, pałak, hrabia, szeląg, draka, skład, kasa, rezerwa, racja, napęd, włóczka, Dumas, skret, kontakt mango, augur, skaza, bruzda, koturn, maszt, Anglia, obiekt, rener.

Pionowo: ogórek, Zambia, wypad, zółta, taksa, repeta, ksiądz, rozbojnik, karczmarz, Stradom, lachman, Drawsko, kanasta, szparag, audytor, afront, gazela, ustnik, udręka, samar, arsen, aktor.

Dodatkowe hasło: „Są ideologie, które zniechęcają do pracy”.

Nagrodę książkową wartości ok. 900 zł. wylosowała ob. Maria Kołosiewicz ul. Bohaterów Warszawy 10 m. 5 66-400 Gorzów Wlkp. Gratulujemy. Nagrodę przesyłamy we wrześniu.

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 900 zł. Rozwiązanie prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru; na kopercie należy nakleić zamieszczony obok kupon.



MaRGINAŁKI

PLECH ZA KIEROWNICĄ. Jak donosi 27 numer „Przeglądu Tygodniowego”, żużlowiec ex-gorzowianin Zenon Plech, po 17 latach występów w lidze polskiej i zdobyciu wielu zaszczytnych tytułów, wycofał się z czynnego uprawiania sportu i obecnie pracuje jako taksówkarz. Czy wobec tego dojdzie do ogólnopolskich zawodów taksówek, zwłaszcza w ulepszeniu kultury jazdy i obsługi pasażerów?

ESTRADA POD PRĘGIERZEM. Mocno krytycznie wypowiedział się o polskiej estradzie Andrzej Ibis Wróblewski w publikacji zatytułowanej „Uwiad starczy”, opatrzonej podtytułami: „Obowiązuje zasada: tanio, byle jak. Degrengolada estrady jest faktem.” („Przegląd Tygodniowy” nr 24). W Zielonej Górze jakoś nie słychać narzeków na estradową rozrywkę. Albo jest na wysokim poziomie, albo nasze upodobania są małe i wybredne...

PODZIĘKOWANIA. Nieustannie dziękujemy dyrekcji zielonogórskiej Estrady za systematyczne nadsyłanie zaproszeń na imprezy i koncerty. Osobne słowa podziękowania kierujemy pod adresem organizatorów Lubuskiego Lata Fimowego, którzy widocznie przypuszczają, iż „Nadodrza” już się nie ukazuje. Można sprawdzić w kioskach!

KUNCEWICZ ZAMIAST BŁAZUC-KIEJ. Odkąd z lamów „Rzeczywistości” znikła nasza stała współpracowniczka p. Błazucka, (ta od Piętaszka) miejsce jej zajął Piotr Kuncewicz z „Przeglądu Tygodniowego”. W nr 28 pisma autor gawęd o dziejach polskiej literatury współczesnej podaje receptę na osiągnięcie kariery, na przykładzie losów poety Marka Wawrzkiwicza... zawsze nosił krawat, prasował spodnie, czesał się i obcinał paznokcie, gdy zaś było trzeba — mył nawet nogi. Zdumione i lekko zaniepokojone władze powoływały go na coraz bardziej wzmożone stanowiska. Gdy, mimo licznych nagród poetyckich, nie wyrzekł się grzebienia, został naczelnym „Nowego Wzroku”, potem korespondentem w Mo-

skowie, wreszcie naczelnym „Poesji” (...). No, tutaj miejmy nadzieję, wreszcie zapomni o grzebieniu.

ROZTARGNIENIE? Daniel Passent jest tak mocno zajęty pryncypialnymi polemikami, iż przez roztargnienie a nie ignorancję sam popełnia drobne nieścisłości. „Inna rocznica, którą Dziennik (telewizyjny — nasz przyp.) obchodził kilka dni temu, to 700-lecie Berlina” — napisał felietonista w 29 n-rze „Polityki”. Tymczasem na Wschodzie i na Zachodzie wydłużają tę rocznicę o pół wieku. Bagatela.

ZMIENIĆ MINISTRA! Nie tylko „Polityka” proponuje reformę Centrum i da leko idące zmiany w jego strukturach (patrz: „Polityka” nr 30). Inne pisma mają już konkretne kandydatury na stanowiska ministrów. Na przykład ostatni zeszyt „Więzi” katolickiej (nr 2-5, jak zwykle opóźniony) płołem niejakiego Turiana suponuje: „Kościół polski jest instytucją znakomicie funkcjonującą. Podobno Hanka Bielicka głosi publicznie, że ministrem budownictwa powinien zostać Ksiądz Prymas Glemp. Myślę, że nie tylko temu resortowi przydałby się kościelny ład...”. A co z innymi resortami? Czy Bielicka ogłosi to z ambony?

BRAK ZWIĄZKU. Ze świeckiej ambony „Polityki” (nr 30) Zygmunt Szeliga publikuje propozycje, dotyczące zmian struktury rządu, pytając o ich dotychczasową użyteczność: „Wciąż na przykład: po co nam Ministerstwo Handlu Wewnętrznego i Usług? Czy dzięki niemu przybywa sklepów, punktów usługowych, sprzedawców, kelnerów, towarów? Jakoś w żaden sposób nie mogę uchwycić istotnego związku pomiędzy istnieniem MHWiU a stanem rynku i handlu — jest on pochodną całej sytuacji gospodarczej i polityki gospodarczej...”. Istotnie, trudno uchwycić coś, czego nie ma. Poza reklamacją i radością twórczością w dziedzinie przepięknej, jak słusznie zauważa autor...

COŚ O FOTOGRAFICE. Jak się okazuje, publikujemy nie tylko zdjęcia rozebranych pańienek. Także od strony teoretycznej zajmujemy się fotografią. Magazyn „Foto” (nr 3-4) w artykule Joanny Kubicy pt. „Kto i jak bierze o fotografii” informuje, iż „Na 67 tytułów gazet i czasopism jedynie w 6 jest prowadzona stała rubryka fotograficzna.” Wśród tej szóstki znalazło się „Nadodrza”, o czym z satysfakcją informujemy ironistów...